Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1886. Rok IX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Puszcze i knieje podgórskie w starożytności i wiekach średnich

przez

Szczęsnego Morawskiego.

(Dokończenie.)

R. p. 60. Nero cezar rzymski, po jantar, którego kupia ustała wondy, słał pułkownika gladiatorów, szlachetnego Juliusza, ku ujściom Wisły pieleszy jantaru. Jechał on jako się rzekło... na Poronin Szczawnicę zkąd cesta po pod Rohacze wiodła na Lipie i ku ujściu Poprudu (Poprud nie Poprad zwie lud tę rzekę...).

Na Winnej górze przy kopaniu ziemi pod kolej żelazną, znaleziono i rozbito garnek popielny, prawdopodobnie pławnika jakiegoś. Bo tu była przystań płytów pojedyńczych, które łączono z sobą podwójnie i potrójnie w tratwy.

U samego ujścia Poprudu, w Dąbrówce, kopiąc w starym brzegu Dunajca na moją prośbę, panowie Donat przedsiębiorca i baron Rieger budowniczy, zwracali baczność i odkryli grób, a raczej żalkę głęboką, w której palono zwłoki i popioły zawarte w garnku dużym, toczonym wedle szablonu ostrego o pięknem profilu rzymskich urn... W samej połowie rozerwany grób; odrysowałem, opisałem i przesłałem Akademii umiejętności do Krakowa, wraz z kawałkiem profilowanej krawędzi garnca... Może to tam kiedy będzie ogłoszone...

Poniż N. Sącza jest grodzisko prastare, z którego mam brązową iglicę do włosów piękną i ciężadełko tkackie... Miecz brązowy ztamtąd zaniósł chłop do kowala, aby mu nałożył pług. Kowal brąz przedał żydowi biorąc w zamian żelazo...

Poniż Zakluczyna w Zawadce, brązy znachodzą często. Kupował je zegarmistrz w Zakluczynie wyrabiał na pierścionki, na które był odbyt dobry, a na drucie brązowym wieszał zegarki w oknie. Sam mi to opowiadał żałując iż nie wiedział o znaczeniu tych wykopalisk!

Ej! żeby się to znalazła jaka opieka Cesty jantarowej — nie jedno można by ocalić. Ale to teraz nie w modzie nauk!

Przez Krępak, ale nie Ruską drogą, tylko na Gaboń prosto, przed Tatarami uciekała Kinga z św. Salomeą i zakonnicami klasztoru swego, do Pionin... Przez Krępak tą samą ścieżą, podczas potrzeby Grunwaldzkiej, z poduszczenia Krzyżaków, wpadł zagon zdrajcy Scibory, rozbił Kotczy zamek nad St. Sączem, spalił miasteczko, napadł N. Sącz lecz odrażony umknął aby od pogoni zmarnieć pod Bardjowem.

Hussytów zastępy uporczywie wojowały w Krępakach a jaskinie były im schroniskami samorodnemi...

XVIII. *Beskid mały czyli Bieszczad.*

Od prawego brzegu Poprudu i Dunajca poniż ujścia

Poprudu: Beskid mały i Podbieszczadzie ciągnie się aż po źródła Wisłoki. Puszcza to ogromna i głucha, matecznik zwierza bezpieczny! bo człek nie orał tu ziemi długie wieki ani zakładał grody mnogie, miasta i osiedla stałe! Gdzieniegdzie tylko jako podróżny górnik lub kupiec z trudnością przedzierał się ścieżą udeptaną przez zwierza i z niebezpieczeństwem życia grzebał w górach, łamał skały, szukając kruszcu.

Lasy dołem były cisowe i dotrwały czasów dziejowych; góry zaś całe pokryte jaworzami, poprzerywane potokami rwącemi stanowiły knieje wspaniałe.

Barnowiec (Nawojowa) puszcza była taką knieją, której co do wspaniałości nieprędko która wyrówna. Jest to kończyna Biesczadu między Poprudem a Kamiennicą, u której ujścia wieś Kamienica dokoła *(ex omni parte)* lasem otoczona r. 1292 zamieniona w miasto N. Sącz, zbudowane z drzewa cisowego.

Cisy rosły jeszcze po wzgórzach okolicznych za moich czasów, mianowicie w niedalekiej Jamnicy i koło Grybowa. Tisina przytoczek Wirchomki, świadczy też o nich. Dziś tam samorodna kniejka modrzewiowa.

Jawory jednak przemagały: Jaworzami zwą się góry najpiękniejsze. Lecz są i Dąbrowy, Beresty (brzosty), Kloniny, Jarzębiny, Smereki czerwone czyli modrzewie i Jasiony. Pamięć ich tkwi w nazwach i podaniach starożytnych, a czasem w zapiskach.

Zwierza też było co nie miara i to grubego, skoro niedźwiedź panował wszędy.

Parichowatka wirch odczocha Barnowcowego, to nazwa sarmacka, oznacza matecznik onegoż — w narzeczu Wogułów kondyjskich *p-ajruch* las, *hoba* niedźwiedź, *kwal* pielesz: więc *P-ariuch-hoba-kwal* las niedźwiedziej pieleszy... To samo oznacza niemiecki Barnowiec *Bärenau*, pod którym leży wieś Łabowa z herbem niedźwiedziej łapy. Za górą zaś jest Niedźwiedzi potok.

Czaczów pod Barnowcem brzmi też z sarmacka znamionując wilka (wogul.) *czecz*. Wilcy byli tam utrapieniem okolicy jak tego sam doznawałem na sobie mieszkając za górą: w Kamionce wielkiej kędy wilcy nachodzili gospodarstwa i pastwiska. W oczach orzącej czeladzi zagryzły mi poczciwego osła; z pastwiska brały owce, świnie, a zapędzały się nawet na dziedziniec dworski i plebanii sąsiedniej, za psami domowemi, które się kryły kędy mogły. U mnie gdym słysząc warczenie i skomlenie psów, wyszedł w wieczór ciemny i otworzył drzwi od sieni psy wskoczyły przerażone i pokryły się w piecach! Na dziedzińcu zajaśniały ślepie wilcze. Co by ja był wtedy dał za strzelbę nabitą! Ale nie wolno mi jej było posiadać, bo lwowska Dyrekcya policyi mianowała mnie wielkim człowiekiem, któremu nie trza dać broń w rękę! — Na plebanii zaś oba psy potężne dopadły próżnych ulów w stebniczku i tyłkiem się w nie wsunęły. W sąsiedniej zaś wsi Królowej ruskiej ś. p. ksiądz Michał Sembratowicz miał psa ogromnego, któren życie uratował wskoczywszy na wysoki tyn t. j. płot z sęków jodłowych. Tam jak w żłobie stał i chodził przeszło godzinę w trzaskący mróz niesłychany; a wilcy z obu stron podskakując nie mogli go dosięgnąć. Za to nieborak odmroził nogi i kulał całą wiosnę jeszcze. Działo się to r. p. 1853.

Ale ale! jeszcze jedno! Do Ptaszkowej wiedzie Potok niedźwiedzi. Misiów nie było już, ale wilczoski to znały tę ścieżę swoją i rade tamtędy chadzały. Kościelny z Ptaszkowej razu pewnego wracał sankami doma i wiózł ś. p. księdzu Wojtowiczowi kilkanaście bułek sądeckich. Wilk zastąpił a on w strachu bułkami nań rzucał, zabawił wilka i umknął ledwo żyw od strachu.

Chłop znowu z furką drzewa sańmi i wołmi jechał ku miastu; a tam na równince siedzi wilczysko i w bok tylko łeb zwraca ani myśląc ustąpić. Chłop tuka! i gwizda na palcu, byki się rwą... a wilk siedzi. „Musiałem bezkurcyą objeżdżać do koła gdyby kapliczkę jaką świętą“ (opowiadał mi on chłop) alem przecie objechał szczęśliwie z drągiem w ręku, przy wołach nie miałem strachu, nie bylibyśma się dali!

Cóż to dopiero było przed dwoma tysięcy lat?

Za Jagiełły czasów było jeszcze tak samo, łowy tylko odbywały się naremniej pod *bakałarstwem* Łapy litwina dworzanina królewskiego.

Trubacz dziś jeszcze musiałby być trubaczem! stanowiskiem króla gdyby tam chciał polować.

Trubacz jest to hala Barnowca (na Francackiej roli...) na przyczołku jego południowym. Gdyby palce od ręki olbrzymiej tak od Trubacza rozciągają się przyłęki promienisto ku Poprudowi okrążającemu góry. Widok przecudny, Przodem hala lasem okolona, dalej w prawo Niedźwiedki i Czerteż a za nimi Krępaki na tle bladych wspaniałych Tatr. Ku południu Świniarki potok i Parichowatka u źródlisk Łomnicy matecznik niedźwiedzi, i Świniarnie moczury. Skotarka zaś od wschodu nad źródłami Wirchomki, u której ujścia leży Zubrzyk; pod Skotarką Cisina potok.

Na Trubaczu rozpięto namiot królewski, a w tyle rozłożono kuchnię. Dla gości dostojnych a nie łowców, wystawiono wzniesienie zkąd bezpiecznie można było przyglądać się wszystkiemu.

W prawo i w lewo rozpięto płoty, sieci, której poły pojedyńcze zajmowały bezmał stajanie całe, a było ich po kilkadziesiąt.

Gdy już sieci niestało rozpinano straszydła t. j. powrozy długie, u których gęsto wisząc powiewały kity piór długich naprzemian z długiemi trokami jaskrawo-barwistemi. Tak osaczano knieje z boków obłączysto, a co kilkadziesiąt kroków stał osocznik na straży, a były i otwory dla myśliwych. Obława szła wprost, wiedziona przez osoczników, którymi dowodził bakałarz. Gdy on dał znak, zagrzmiały kotły, ryknęły trąby, huknęli obławnicy, napędzając zwierza ku Trubaczowi kędy w wąskiej ulicy sieciami ujętej, stał król z dworzanami.

Żubry, łosie, jelenie, pomykały w bok lecz się cofały na widok straszydeł chwiejnych, ruszanych naumyślnie, więc gnały dalej i dalej ku sieciowej płoni i padały od strzał lub brane na oszczep. Sarny zaś plątały się w sieci, chcąc się przemknąć przez nią; więc często brane żywcem. Dziki zakręciwszy ogon, sadziły dmuchając, odyńce przodem a z tyłu maciory z warchlakami.

Niedźwiedź gniewliwie mrucząc szedł na przełaj prosto i odważnie...

Wszystko to waliło się: od *Zubrzyka* żubry; z kniei *Jaworowych* bagnistych porosłych kaczyńcem i wrzosem, mknęły łosie rosochate z klępami swemi; z *Jarzębowej* ulubionej ostoi, wybiegał konarzysto uwieńczony jeleń z łanią swą nadobną i jelonkami jeszcze nie korouno wieńczonemi; za jeleniami stadka sarn wiedzione od kozła z parostkami widlatemi szybko przebierały cewkami swych nóżek cie-

niuchnych; dziki od *Świniar* i *Świniarek* potoka a niedźwiedź od *Parickowatki* i *Niedźwiadek*.

Wszystko to padało z ręki człowieka! Po skończonych łowach osacznicy przyszli do stania królewskiego, bakałarz zatrąbił a za nim łowce wszyscy, na znak, że koniec łowom.

Oto Trubacz, oto łowy na nim!

Góry te znane już były Piastom mianowicie Łokietkowi gdy uciekał przed krakowskiemi Niemcami, tędy przebierał się na Węgry. Staro-Sądeczanie okazali mu życzliwość gdy r. 1312. obozował w pobliżu. Wdowa jego Jadwiga, matka Kaźmierza Wielkiego wstąpiła do zakonu i już ksienią będąc (r. 1336) wiernego wójta starosądeckiego wynagrodziła nadając mu sto łanów puszczy leśnej nad Kamionką czyli Kępnicą czarną na założenie miasta. Nawojowa też już istniała jako nadanie Nawojowi wiernemu podkomorzemu sądomirskiemu, zameczek jakiś istniał tam, było oparcie łowcom dostojnym, zkąd drugim miotem łowili na Solisku u źródlisk Kamionki wielkiéj.

Solisko, nazwa sarmacka puszczy łosiej — *sus* (wogul.) łoś — *iskaj* zakończenie łotewskie... *Sus-iszkaj:* łosie.

Że tak było istotnie świadczy kniei całej nazwa Bratosowiec — *breedis* (łotw.) łoś — i sąsiednie Łosie z niedaleką Rosochatką górą.

Margań — (fenickie) *margaj* wypoczynek, tuż obok *Magury* i *Bania* (we wsi nad karczmą) z odwieczną studnią górniczą, świadczą, że w sarmackich jeszcze czasach zapuszczali się tu górnicy feniccy prawdopodobnie za złotem którego szukali: na Baniach pod Kiczarem „kędy kopano złoto i lano złotą banię“ (naprzeciw Piwnicznéj) w Złockiém (koło Muszyny) w Złotwinie (Krynica) i w Złotnem koło Pisanej hali na Barnowcu.

Jama zbójnicka nieopodal od Pisanej hali, jest tą kopalnią. Wchód do niej z boku widocznie ręką górników w niski czworobok ułożony — wewnątrz zawalony. Był tu później perechowaj zbójecki.

Krajna hala ma też podania o złocie...

W Łomnicy zaś bają ciągle o smoku co ongi strzegł turni (naprzeciw Orzyniatego...? *aurifondinae?)*

Zkąd tutaj przybywali Fenicy?...

Przybywali z Pannonii, która była ich państwem: *Punim-aj* jako też z Siedmiogrodu gdzie panowali Dakom.

Między Hernadem a Toplą rzekami, poniż Preszowa ciągnie się dział gór Solnych z szczytem Krzywy Jawor. Pełno tam odwiecznych kopalń: soli, złota i opalów. Rzymianie tu nie kopali bo ich roboty łatwo rozpoznać. Wykopaliska brązów mnogich: w Abos, Lemes, Boroszlo, Budamer, Finta wskazują o stałym ich pobycie w górach onych; nie mówiąc już nic o wykopaliskach nad Hernadem dolnem (Felso Dobsza, Buzitta i t. d.), o których Madziary daleko lepiej wiedzą niżeli my o tem co się znachodzi u nas.

R. przed Chr. 45. po śmierci Berebisty fenicyana z rodu: Zyrax przyzwał z Sarmacyi starej (z nad Donu) przybyłe nad Dunaj, zagony konnicy Jacygów melanostów t. j. konnicy przybłędów. Była to Łotwa pod z stepów sarmackich: wpadła po lodzie poraziła zastęp Daków rowieńskich i przepędziła go za Cissę w góry, kędy bracia ich górniczyli.

Sarmaty stare, prawdziwe z pokolenia Finny (woguły) przyjęli ich chętnie, nienawidząc Łotwy uprzykrzonej.

Magury mnogie wskazują ich schroniska chwilowe, *Makowice* ich osady stałe owoczesne, *Marganie* miejsca wypoczynku: a wszędzie w pobliżu po kilka *Kiczor* lub *Kiczerek*. Wyliczać je tutaj przytrudno!

Magura orłowska i *Magura pilchowska* leżą w Krępakach już — *Magura zborowska* nieopodal źródlisk rzeki Białej a potężna Makowica zborowska (późniejsza własność Rakocych...) jest Beskidu przyłękiem południowym podczas gdy ku północy odczochem onegoż jest: *Magura małastowska* stanowiąca brzeg prawy rzeki Ropy.

Ot! i cesta Feniko-Punów, wychodźców z Pannonii.

Ludzie mają swoje szlaki, tak jak inne stworzenia boskie i pozostawiają na nich tropy swoje. Fenicy nie pierwsi chadzali tędy i nie ostatni. Oni uciekali przed Jacygi i Rzymiany, a ileż to kroć tysięcy za nimi uchodziło przed Cezarami, a ileż to napisów na skałach pozostało po tych wychodźcach i ich pogromcach.

Pisane hale — pisane skały?... niema tam gdzie napisu jakiego starodawnego?... Panowie łowcy, hop! tu! szukajcie, bo ludzie pióra niepostoją tam nogą swoją! ich knieje ulice miejskie, gawrą kawiarnie!...

Biała, rzeka, przytok Dunajca — to zimowa cesta z Powiśla ku Pannonii. Tędy najłatwiej, bo trzeba przebyć jedną tylko niezbyt wysoką górę Lackową i już Pannonia. A konno lub sankami o jednym koniku w hołobli, od samej Wisły i Dunajca nie ma trudności po lodzie w zimę tęgą i stałą.

Łotwa lubiła wyprawy wodne, czy to w czółnach, czy sankami po lodzie, a mrozów się nie bała w wilczurach swych i lisiurach. Pierwsze zagony łotewskie *bastees* Bastarnów północnych, były z krainy błotnej, z litewskich *Pełkis* moczar (Pełkinie, Pełtew, Pełczyska...) najpierw Wisłą, gdzie się usadowili u Wiślicy na Pełczyskach... potem przytokami Wisły, Sanem, Wisłokiem, Wisłoką, Dunajcem i Rabą. Z Dunajca Białą zdążali Pełki Bastarny — *(...Peucini quos quidam Bastarnas vocant* — pisze Tacyt: *De moribus Germanorum c. 45)* cokolwiek tylko podobni do Sarmatów, koczujących jeszcze w kibitkach lub konno *(...in plaustro equoque viventibus...)* podczas gdy Łotwa Pełki mieli już domy stałe.

Wyprawy zaborcze Bastarnów Pełków porzeczem Biały rozpoczęły się około roku 90 przed Chryst. — gdy Dekebal sprzymierzył się z Słowiany i Łotwą przeciw Rzymianom *(patrz: Prasławianie i Prałotwa str. 248 — 281)*.

Pleśna, to łotewska twierdza okopana *„pils“* — koło *Mesznej*, więc w lesie (łotw. *mesz)*, kędy łowy odbywano z ogarami małemi w kniei *Kipszna kippars* (łotewskie): piesek mały — po błotach w *Ostrużnej* — (łotw.) *strugga* błoto.

Berdychow przyległy znamionuje łosia — (łotw.) *breedys*.

Chełm grybowski, to poprostu łotewskie *kalns:* góra *culmus*... przytyka do Bratosowca i Łosiego.

Brunary, to obozowisko zbrojne — (łotw.) *brunas:* zbroić się... Pewno przeciw Sarmatom, którym też chodziło o knieje łosia, której bronił Gródek.

Sus doł, przytoczek Biały — (sarmack) *sus* łoś — i *Słopno* wzgórze prawdopodobnie sarmackie *sus*...

Gaworze wspaniałe wskazuje knieje łosia, tem bardziej, że w pobliżu, w Bystrej, istnieje jeszcze las jasionowy, młody, w miejscu starego, którego kłody potężne oglądałem tam naocznie.

Feniko-Puny przywodzili Sarmatom, pobratymcom swym odwiecznym, mając tu przybytki, jak świadczą Kiczory ich: jedna przy Brunarach, druga koło Banicy, gdzie

znać górniczyli, a Łotwa banię ich słusznie przezwała *banis*, t. j. chodnik.

Ztamtąd prosty i nietrudny do przebycia przesmyk do Słotwiny, Krynicy, Muszyny i Leluchowa.

Muisza (łotw.) dwór — jakiegoś wielkiego księcia.

Leluchów, to łotewski *led-kungs:* wielki kniaź.

Mrokowiec, góra od Biały, znamionuje matecznik niedźwiedzi — był puszczą brzostową, jak świadczy Berestie wirch.

W tej brzostowej puszczy Łotwa walczyła, a pobojowisko to dzisiejsza Muszynka — (łotw.) *muszis:* bitwa, bój.

Małastowska Magura – między Ropą rzeką i przytokiem jej Ropicą, powyż Małastowa.

Nad Ropy rzeki źródłami wirch *Swejka* oznacza zdrój — (litw.) *swejkas* zdrowy, która nazwa odnośna może do zdrojów Wysowej i Cygiełki nie zbyt oddalonych.

Jaworzyna beskid, po obu stronach ma pastwiska stałe, sarmackie, z kolibami i bacą. Świadkiem dwa Regeto — (litw.) *regietois*, baca, dozorca.

Lackowa bliska, oznajmia, że to Sarmaty — (jugr.) *łacz* pagórek.

Czertyżne, a raczej Dżertyżne pod Swejką — (litw.) *dżert*, pijatyka uroczysta — może karczma na ścieży ku kopalniom i Kiczorze fenickiej nad Białą.

Smerekowiec nad Regetowką, potokiem, znamionuje chów bydła w kniei modrzewiowej, a Jasionka przytyka złączona z Lipną już nad przytokami Wisłoki.

Małastow sam oznacza ścieżę graniczną — (łotw.) *malla* kraj; *taks* ścieża.

Dziamera, dział górski, goryczką porosły — (litw.) *cziameriaj*, goryczka — więc dla owiec wyśmienite pastwisko.

Ku północy lasy bujne (Rychwałd), puszcza Łosie wielkie — i Siary, błonia wołowe — *sar:* wół u Sarmatów.

Banica powyż Magury i Dziamery, była kopalnią w pobliżu góry *Mareska.*

Magura Kopaniny, łączyły się, stanowiąc lewy brzeg Wisłoki.

Od zachodu nad Ropą jest Grodek, widocznie strażniczy.

Na przeciwnym brzegu leży Żdzar, wzgórze na miedzy od Łosia i Klimkówki. Suchy potok w uboczu onegoż, na wstępie zaraz, w uboczy, mieści skałę jaskiniową, zwaną Uszki... może najpierwotniejszy grodek — (sarmackie) *Usz*, miasto — Jaskinia, później schronisko zbójców, więc zwana Dziury zbójeckie, nie była znać jedyną. Wchód z boku po pod skałę nie wysoką, zagłębia się położysto obłokiem w prawo. Jaskinie mają być głębokie, ręką ludzką częściowo krzesane. Zdżar cały z Potokiem suchym i Dziurami wygląda na uroczysko prastare i na strażnicę samorodną, zkąd widać i słychać co się dzieje w wąwozie Ropy rzeki.

Kunkowa góra (dziś zwana Kopą) naprzeciwko... Gdybym się nie bał przeholować, to bym odniósł do wyrazu sarmackiego: *Kunna*, renifer — a Kopę do fenickiego *gub*, *gob*.

Podbieszczadzie — to podgórze Beskidu małego od Ciężkowic, Brzostka, ku południu, między Białą a Wisłokiem, porzecze Wisłoki z Ropą i Jasiołkiem. Od zachodu *Tursko* nad Białą i *Turze* nad Moszczanką potokiem, znamionują puszczę głuchą, pastwiska turow *(Pasternik nad Turzem)* w kniei Dębowej (Dąbrów rzepiennicki) i modrzewiowej (Moździenica), lipowej (Lipie nad Olszynką), bukowej (Bugaj).

Moroń (nad Wilczyskami) z Strożą (212, 4) był ostateczną miejscowością, zwiedzaną przez fenickich górników od Magury Kopaniny — (fen.) *mora* jaskinia.

Babie góry trzy: 1. nad Rozembarkiem, 2. nad Sietnicą, 3. nad Łużną. Co one znaczą? Bóg wie! — Zważywszy jednak, że Ołpiny niedaleko, a z fenicka znaczą „Boże wzgórza“: *El-pinim*, możnaby wnosić, że takiemi były one Babie góry, że na nich stały niezgrabne posągi sarmackie, jakich pełno w Sarmacyi starej, nad Donem...

Ale Ołpiny to wieś p. Rogawskiego Karola, najdawniejszego ze starożytników naszych, badacza grodziska w Leżajsku i dna jeziora Gopła... Niech on tam dochodzi tego! ja nie będę sobie głowę łamał... Panie Karolu hop! hop! — hop tu! pilnuj! Co to za baby były nad tą Banią łużańską?? i co za Biesy na Biesnej i Biesniku??...

Przecie nie Biessy, o których mówił Ptolom: *hoj Biessoj para ton karpaton horon!* t. j. Biessy nad Karpatami górami — bo tamte Biessy na Bałkanie, zwanym *Karbeth* (fenick.), t. j. owczy przybytek.

Ale i tutaj stoi najwyraźniej: Biecz, gród sławny, stolica Bieszczadu? — szkoda Krakowa, jeżeli on nie Karodunum — ale szkoda i Biessów bieckich! — jeżeli to nie oni!...

Królowa Jadwiga lubiła Biecz. Roku 1396 nadobną i szczebiotliwą Wąswoję, dworzankę, wydając za Gamrata Stanisława, dała jej w posagu niedaleką Trzcienicę. Odtąd często przemieszkiwała w Bieczu. Podanie ludowe pamięć jej żywo zachowało, uwielbiając dobroczynność i opowiadając, że przemieszkiwała często w zamku jakimś pobliskim, zkąd król często wyjeżdżał na łowy albo w samym Bieczu, w gródku naprzeciw późniejszego klasztoru Reformatów. Szpitał dzisiejszy starodawny miał być jej łaźnią, a wytryskują tam w pobliżu 2 źródła, z których jedno cokolwiek żelaziste. Zamkiem pobliskim będzie może Bączal?

Bieszczad wielki; część jego obniżna ku północy zwie się *Podbieszczadziem*, wyziny zaś *Bieszczadem* lub *Beskidem;* południowa zaś ubocz (już węgierska) *Zabieszczadziem.*

Bieszczad wielki składa się z puszcz noszących nazwy: *Małastów*, *Grab*, *Beskidy ruskie* i *Turzańska.*

Tu r. 1394 Jagiełło z Witoldem wracając ze Lwowa odbywali łowy, snać zwabieni ogromem kniei i obfitością zwierza. Nie wybrawszy się na łowy, król nie miał z sobą nawet odzienia łowieckiego; więc (21. listopada) posłano z Biecza 14 łokci sukna szarego, na suknie łowieckie dla króla Jmci, za 4 grzywny 2 szkojce, i półsukna czarnego 6 łokci na podszewkę za 3 wiardunki — z czego krawiec nadworny Henryk urobił królowi kabaty; więc też posłano 10 oszczepów, zwanych „widlicami“ i dwie baryłki wina węgierskiego. Snać więc polowano na niedźwiedzie, które brano na oszczep, a prawdopodobnie i na żubry w dzisiejszej Żubraczy, która odtąd miano to nosi, obok dawniejszego Turzyska. Łowy odbywały się z psiarnią.

W Radoszycach radość łowiecka jest w każdej puszczy, a może król był w niebezpieczeństwie, bo wróciwszy doma posłał kościółkowi radoszyckiemu tuwalnią na ołtarz z frendzlą, na którą różnobarwnego jedwabiu wyszło funt cały. W Bieczu psiarzowi księcia Witolda, Piotrowi, kazał dać 6 grzywien; psiarczykom czterem królewskim 1 wiardunek na obuwie. Mężyk, komornik królewski, dostał kaptur

i obuwie, a Szybałka, piekars królewski, też obuwie, snać wiara obdarła na łowach. Piotr, pisarz Witolda, dobrze bakałarzył, skoro go nalepiej wynagrodzono.

Prawdopodobnie Jagiełło wówczas pierwszy raz polował w górach wielkich i nie zraził się. Odtąd często przebywał w Pobieszczadzie, zwłaszcza gdy i Jadwiga polubiła Biecz, sąsiedztwo Wąswoi Gamratowej.

Z opisu tych puszcz widzimy, że pewna jednostajność przebija się wszędzie w puszczach podgórskich. Nizinami trzody wieprzy, łąkami i dolinami tury lub żubry, uboczami i pagórkami kozy i jelenie, a górą niedźwiedzie, koty, jastrzębie i zbójce, a kędy najdziczej, kędy samotniej, tam pośród zwierza i ludzi drapieżnych, bezbronny, samotny pustelnik u zdroju wody czystej, bezpieczny modlitwą, ubóstwem i miłością „Boga i ludzi“, wschodzi jak jutrzenka oświaty człowieczeństwa.

Kędy dziki, tam i niedźwiedzie; kędy sarny, jelenie, tam i wilcy, rysie; kędy ptactwo, tam jastrzębie; kędy zbójcy, tam jaskinie zbójeckie, tam i pustelnik blisko. A kędy knieja łowna, wszędzie jakiś Lubon, Lubień, jakaś Radzicha, Radziejowa, Dobrociesza.

Łosie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa były dość pospolite.

Rysie dotąd istnieją, ongi musiało ich być mnóstwo, skoro huzarya cała okrywała się ich skórami.

Cisy rosły pagórkami ciepłemi i dolinami obsuszonemi obok modrzewia, który lud zwie *świerkiem czerwonym* i obok limby. Cisy wyginęły pod siekierą i w kuźnicach; tury, żubry i łosie wygubiła broń palna. Przemysł ludzki, szukający zarobku, wytępiając bory odwieczne, płoszył oraz pustelniki i zbójców, wytępiając zwierza; przepadł i modrzew i limba, w których dłubiach woniejących osadzały się barcie pszczół dzikich.

Lekkomyślność nowoczesna wraz z głupotą nieuleczalną, równie jako i zbytnio przeuczoną, dokonywują zniszczenia!

Czas by radzić, bo i paliwa nie staje i wody nawet nie staje, a niedobitki borów zarażone są chorobą straszną, grzybem leśnym. Czas też jąć się pisania dziejów puszcz i lasów!

SŁONKA
(SCOLOPAX RUSTICOLA, DIE WALDSCHNEPFE, LA BECASSE)

PRZEZ

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

P o b y t i l ę g s ł o n e k. Mało gatunków ptaków znamy żyjących na tak szerokiej przestrzeni i wywodzących pisklęta jak słonki. Ptasi filantropi, broniący nam strzelania do słonek na wiosnę, nie znają miriadowej ilości wywodzących się tych ptaków w Europie, dopiero na ciągu jesiennym zastanawiają rezultaty, wykazywane z różnych krajów, z których można w przybliżeniu zestawić olbrzymi coroczny przybytek. Na wyspach zapada słonek po kilka set nad miarę znużonych podróżą, leżących jak bryły kamieni. Przypominam sobie ciąg w późnej jesieni na skalistej wyspie Helgoland, liczby słonek nie ośmielę się oznaczyć, wywołały one istną ruchawkę. Kto miał broń, strzelał, inni bili kijami, nastawiali sieci, a dzieci jak koty podkradały się i prętami zabijały. Słonki były widocznie niezmiernie znużone, bo spłoszone oblatywały wysepkę i pomimo srogiego prześladowania znowu na nagiej skale zapadały. *) Na wyspie Rigi, jeżeli się nie mylę, w r. 1853 w końcu Września i na początku Października, była obfitość słonek niedoobliczenia, a książę pozwolił na nie polować, więc co żyło strzelało do nich przez dwa tygodnie i mnóstwo tych ptaków poległo. W owej wędrówce słonek tkwi nieodgadniona tajemnica, jakżeż bowiem usprawiedliwić pojawienie się kilkuset ptaków, niepodróżujących gromadnie, w czasie jednéj krótkiej nocy? Ornitologowie zgadzają się w zdaniu, że słonka wędruje pojedynczo lub w parze, według mego zaś doświadczenia, co nieraz widywałem, ciągnie w jesieni rodzina, złożona z sześciu ptaków, jednak nie sprzeciwiam się powyższemu twiedzeniu autorów, widywałem bowiem często ciągnące słonki parami, lub pojedynczo, na wiosnę lub w jesieni. Gdyby sobie wyobrazić ciągnące słonki jak szeregi żołnierzy jedna za drugą, jeszczeby trudno było zgromadzić kilkaset ptaków na jednem miejscu, na którem wczoraj wcale ich nie było, a wiadomo, że w nocy nie ciągną. Co dostrzeżono na wyspach, pojawia się i u nas. Ileż to razy spotykałem dwie lub trzy słonki wczoraj, a dziś znalazłem ich sto. Wywodzę przeto wniosek, że jak u wielu gatunków ptaków, wędrówkę rozpoczyna rodzina, na etapach odwiecznych, wskazanych przez przyrodę, styka się ona z drugą i trzecią, a gdy już cała drużyna ma ruszyć pospiesznym pociągiem, wznosi się wysoko i leci gromadnie, czego my ani widzieć ani słyszeć nie możemy. Przytoczyć też muszę o naszych słonkach, że nawet niępłoszone i niestrzelane, zapełniające wczoraj krzaki, dziś nad ranem odleciały, musiały więc ruszyć w pochód, powołane przez wędrujące.

Gdzież niema słonki? W całej Europie, Azyi i części Afryki, na Syberyi i Kaukazie — wszędzie jej pełno, jedynie, jak twierdzą autorowie, niema jej w Islandyi i pół-

---

*) Przypominają te słonki przepiórki zapadające na wybrzeżach morza; wprawdzie nigdy sam nie polowałem na te ptaki w sposób godny oprawców, ale znajomi opisywali mi to polowanie szczegółowo, w dziełach zaś ornitologicznych i sprawozdaniach wiarogodnych do syta można się naczytać opisów. Widocznie i przepiórki doznają w skutek długotrwałego lotu ubezwładnienia skrzydeł, niedozwalającego poderwania się. Niktby nie uwierzył, że w dwóch godzinach napełniono worek przepiórkami, kijem pobitemi, zatem kilkaset ptaków, które albo przywarowały do ziemi przytulone, lub też na nóżkach ocalenia szukały. Wyspy Korfu, Sardynii i archipelagu heleńskiego dostarczają każdej wiosny krocie przepiorek, zabijanych prętami lub nakrywanych sieciami.

nocnej Norwegii. Musimy za ojczyznę słonki uważać miejscowość, w której rodzinę wychowuje, pobyt zaś pięciomiesięczny zimowy jako emigracyę. Przeważna część wędruje do Azyi i Afryki, podczas łagodnych jednak zim przebywa w wielkiej liczbie w prowincyach naddunajskich (dziś raczej państwach), na Pontyńskich bagnach, na wyspach śródziemnego morza, często w Dalmacyi i Illiryi. Widywano w Niemczech, we Francyi, a nawet w Anglii zimujące słonki; mój kolega myśliwy i ornitolog opowiadał mi o słonkach w Meklenburskiem, które co roku w Grudniu i Styczniu strzelał w mokrych miejscowościach, tak zwanych cieplicach, nie zamarzających przez całą zimę. Z powodu lenistwa i zaniechania podróży często srogo pokutują, narażając życie. W naszych krajach nie słyszałem o zimowaniu pojedynczych słonek, niekiedy pasibrzuchy lub postrzelone doczekają się śniegów, lecz i te odciągają i nawet ciepłe źródła zatrzymać ich nie zdołają. Przypominam sobie dwie czy trzy zimy ze stadkami w drugiej połowie Grudnia i to na śniegu, gdy polowaliśmy już na dziki obtropione, raz narachowałem w miocie ośm tych ptaków, kilka razy zaś po dwie i trzy, na których nie znać było głodu, lecz i te powędrowały.

Słonki na wyspach straszliwą płacą dziesięcinę ludziom, którzy wystudyowali przyloty, odloty i ich zwyczaje. Posiadałem nader ciekawy opis polowania na wyspie Sardynii, na które zjechało wielu cudzoziemców, przeważnie Anglików, oczekujących ciągu, poczynającego się w pierwszych dniach Listopada. Pierwsze polowania odbywały się w trawach i krzewinach u brzegów morza, na strudzone podróżą słonki, dosiadujące jak kamienie, a chociaż Anglik, prawidłowy myśliwy, często nogą płoszył słonki, aby je w lot strzelać, to jednak nie zawsze zmusił je do poderwania, tak były skrzydła podróżą sparaliżowane. Po kilku dniach odpoczynku pociągnęły ptaki do pierwszych krzaków, z prześladowcami za sobą, i tak dalej i dalej, z pagórków w góry, do śnieżnej granicy. W miarę spadającego śniegu ściągały słonki ku podnóżom i tak prześladowanie trwało przez całą zimę, dostarczając tysiące trupów. To posuwanie, a przeważnie zniżanie się słonek zauważaliśmy na całej linii naszych Karpat, gdy bowiem, jak to często bywa, spadły we Wrześniu lub na początku Października nawalne, wilgotne śniegi, to hurmy słonek pojawiały się na podgórzach i na krzaczystych nizinach pod górami, a jeżeli się pora wędrówki jeszcze nie była pojawiła, to powracały na swe ulubione miejscowości, poprute parowami. Z powodu wyżej przytoczonych wyników badań, okazuje się potrzeba szpiegowania przylotu słonek, że tak powiem, innymi sposobami i w różnych terminach, przeważnie pod górami i nad głównemi krajowemi rzekami. Jedne ptaki bywają ruchliwe, inne zdradzają się głosem, cicha, bojaźliwa i nad miarę ostrożna słonka pojawia się tajemniczo, w cichości, najczęściej na dosyć ciasnej przestrzeni; z tej przyczyny w czasie ciągu wypada pilnie z psem szukać, poznawszy ulubione miejscowości tych ptaków. Kontrolowanie ciągu na wiosnę bywa korzystną i nader przyjemną rozrywką, często srogie mrozy, tamujące życie przyrody lub głębokie śniegi, nie dozwalają lecieć słonce do ojczyzny, zatrzymują ją na nizinach, dozwalając nam używać rzeczywistej rozkoszy. Z naciskiem zaznaczam potrzebę troskliwego, sumiennego i codziennego szukania, gdyż ptakom nader pilno lecieć na legowiska i nieraz spotykałem znaczną ich ilość, której nazajutrz już nie było, widocznie rano zapadły, a wieczorem pociągnęły dalej. W górach posuwają się wyżej, o ile na to dojrzałość jaj pozwala. Zauważałem że słonki parują się przy końcu podróży, więc często zgubne dla nich powietrze nie dozwala donieść jaja na miejsce upatrzone, wybrane, o czem mówić będę przy ciągu.

Lęg słonki łatwy do badania, miejsce zdradza ciągnący samiec, a ptaki gnieżdżące się pozostają na miejscu, mimo kilkokrotnego ich płoszenia. Pojedyncze parki gnieżdżą się niemal we wszystkich większych lasach u nas, byle były wilgotne i większymi krzakami podszyte. W starodrzewie nie ścielą nigdy gniazda, przeważna część gnieździ się w górach, posuwając się ku szczytom, gdzie zaś drzewo karłowacieje lub rośnie kosodrzewina, to takich miejscowości unikają słonki. Ulubione ich zacisza są w parowach, na ich ścianach i przy źródliskach, często w jednej takiej debrze znachodziliśmy kilka takich gnieżdżących się par. Słonka leniwa, zaspana i ciężka, staje się w czasie parowania nad wyraz namiętną i napastliwą, nader ciekawy przedstawia obraz, zmieniający się kilkakrotnie, nie tracąc wszakże cechy zawziętości i gwałtowności, przygłuszających wrodzoną ostrożność do tego stopnia, że nadlatuje na kilka stóp od człowieka, lub walczy w obecności jego. Te miłośne słonek pojedynki podobne są do owych przez chłopczyków drewnianymi pałaszami dokonywanych, miękki bowiem i elastyczny dziób ciężkiego razu zadać nie może, niezdolny nawet uszczypnąć przeciwnika. Jak w każdym gatunku ptaków, tak też u słonek więcej samców jak samic, z tego powodu toczą się zawzięte walki w czasie gnieżdżenia. Już w pierwszych łagodnych wieczorach słyszymy wabienie się słonek świstem i chrapaniem, w innych nie parują się i nie tokują, potrzeba im ciepła, jak niemcom betów. Do nocy uganiają samce za samiczkami, trącając się dzióbami i usuwając się nawzajem lotkami, co też czynią przed wschodem słońca. Niekiedy, jak gdyby w kłębach splecione, leci ich trzy lub cztery, koziołkując w powietrzu tak szybko, że rozróżnić ich nie można, to znowu znużone siadają na ziemi, lub przy kałuży i poczynają biegać koło samiczki, roztaczając w wachlarz sterówki, świecąc plamami śnieżnej białości i dziobią się nieustannie. Nagle, bez widocznej przyczyny, jakby na komendę, zrywają się i poczynają uganiać. Dwie i trzy jakby w wiązkę złączone słonki widywałem często, jednego zaś wieczora nadleciała taka wiązka ptaków nad mego towarzysza, który jednym strzałem ubił trzy. Często zaślepione namiętnością kręcą się po ciasnej przestrzeni porębu, wtedy uważny i cierpliwy strzelec może z łatwością ubić dwie na jeden strzał. Przyznaję, że pierwsza lecąca słonka bywa zawsze samiczką, czy zaś, jak twierdzą, ona tylko świszcze, a samce chrapią, tego stwierdzić nie mogę stanowczo, badanie to trudne i nader bałamutne, wszelako może to być prawdą, często w oddaleniu od samiczki słyszałem świstanie i chrapanie, zwykle jedno i drugie tak szybko powtarzane, że trudno orzec, który głos wydany był przez ptaka lecącego przodem, a który przez goniącego. Mylnem jest twierdzenie, jakoby słonki w powietrzu się parowały śród przewrotów i koziołków, akt ten odbywa się po zwalczeniu współzawodników zawsze na ziemi.

Niewybredną jest wcale słonka w wyborze miejsca lęgowego i uścielenia gniazda, widocznie pospiech zmusza ją do znoszenia jaj w ladajakim dołeczku, przykrytym kilkoma suchymi korzonkami lub źdźbłami trawek. Zdarzało

mi się widzieć gniazdo pośród korzeni, a całość tak była jednobarwna, że stojąc o stopę od gniazda z trudnością mogłem je i samicę upatrzeć. Przypominam sobie słonkę siedzącą twardo na jajach między dwoma korzeniami grabowymi, którą mi chłopiec palcem pokazywał, a ja jej zobaczyć nie mogłem, mimo dosyć głośnej rozmowy słonka się nie zerwała i pozostawiłem ją na gnieździe. Może być błędnem moje mniemanie, iż słonka często gubi dojrzałe już jajo w końcu podróży, jeżeli wszakże ono jest prawdziwem, to tem wyjaśnić można mniejszą ilość jaj, jak cztery, które znosić powinna, nigdy mniej ani więcej, tak jak każda samiczka rodzaju bekasiego. Cały szereg notatek moich stwierdza to przypuszczenie, czytam w nich o zabiciu słonek z dojrzałemi jajami, wyraźnie kolorowanemi, a zatem gotowemi do zniesienia, naznaczone są w nich dwa lata, w których strzelaliśmy dosyć znaczną liczbę takich samiczek z jajami w jajowodach, a że nie wiele parek gnieździło się w okolicznych lasach, przypuścić nie mogę, aby one z takiemi jajami dalszą podróż odbywać mogły, musiały więc je w drodze zostawiać. Przypisać to należy naszym spóźnionym, tak dziwnym i kapryśnym wiosnom; ciepło wypędza słonki ze wschodu, nasze zaś zimno nie dozwala znoszenia jaj i wysiadywania ich. Samica wysiaduje nader pilnie jaja, przypuszczam, iż samiec ją żywi, nie słyszałem bowiem, iżby kto znalazł gniazdo z jajami bez matki, nie opuszcza go ona przez 15 do 18 dni, gdy więc za żerem nie wybiega musi być karmiona. Po tym czasie wykluwają się istne potworki i ledwie osuszone już z gniazda wyłażą i włóczą się po krzakach. Oboje rodzice przykładnie i troskliwie żywią pisklęta i okazują im wielkie przywiązanie. Gdy człowiek się ku nim zbliży, wydają głos, znany u dubeltów, powtarzany żałośnie, zrywają się i opodal siadają głosząc swój niepokój. Pocieszne to figurki, owe malutkie ptaki, które biegają, mając na puchu tu i owdzie jeszcze kawałki skorupy z jaja, dzióby ich wprawdzie krótsze od rodzicielskich, zawsze jednak nieproporcyonalnie długie, oko duże brunatnego koloru, puch ciemnoszary z plamkami rudemi i ciemnemi, od nasady dzióba pod oko i na karku pasek brunatnoczarny, charakteryzujący pisklę słonki, nogi grube, w kolanach jakby nabrzmiałe i ta grubość nóg pozostaje młodym do jesieni. Już w tym wieku są rozumnemi ptaszynami, gdy rodzice chrypliwie nakażą ostrożność, pisklęta warują na liściach nieruchome i żadne oko ludzkie ich nie wykryje; nie znalazłem też nigdy takiego malca i gdyby nie stający do niego legawiec, byłbym młodych słonek nie poznał. Puch noszą przez nader krótki czas, już po 10 — 15 dniach poczynają wyrastać piórka na całem ciele, koloru nieco ciemniejszego od pierza rodziców, przedstawiają się w szkarłatnej postaci, dziób pionowo noszony przydłuża się, na całem ciele miła dla oka znaczy się pstrocizna, ale lotki jeszcze nie wyrastają, więc ptak zda się być kaleką.

Samica znosi, jak już wspomniałem, cztery jaja, które leżą w gnieździe, stykając się z sobą szpiczastymi końcami, w stosunku do wielkości ptaka dosyć duże i kształtne, u góry pękate, u dołu zaokrąglone. Skorupa bez połysku, z gruntem szarordzawym, na którym plamki i punkciki rdzawo czerwone przebijają się jak przez zasłonę. Jaja nierówno upstrzone, niektóre mają więcej, inne mniej plamek, są też z wieńcem u grubszego końca, a mają tę właściwość, że w zbiorach, na powietrzu tracą koloryt i stają się blado rdzawemi. Istotnie wszytko odmienne i oryginalne u słonek. Pisklę pstre bez lotek, kulejące jak kaleka, już własnym przemysłem żyje, biega za żerem i zabezpiecza swe życie. Kto je uczył, kto prowadził, kto wskazywał pożywienie, gdy rodzice już odbiegły swe dzieci? Oto dobroczynna przyroda nakazuje przewracanie liści, upatrywanie ślimaczków, owadów i robaczków, którymi się żywić musi, gdyż dziób jeszcze za miękki, iżby szturkać nim w łajna i wilgotną ziemię. Słonki nie są ptakami towarzyskimi, rodzice o dzieci się nie troszczą, jeden ptak od drugiego stroni, żyje w samotności, nawet rodzina rozłazi się i na noc się nie gromadzi, każdy dla siebie, Bóg dla wszystkich, oto ich hasło. Zdarzało mi się, iż znachodziłem pisklęta widocznie z tego samego zniesienia, gdyż na porębie nie było więcej jak dwie słonki, rozrzucone na przestrzeni kilkunastu morgów. Znachodzęc w końcu Sierpnia i na początku Września niewypierzone jeszcze pisklęta, twierdzili niektórzy, że słonki się gnieżdżą dwa razy w roku, lecz mylne to zdanie, o czem się dostatecznie przekonałem. Słonka odkarmiwszy się po wysileniach w czasie lęgu poczyna się pierzyć, a jest to peryod, w którym ptaki nigdy się nie gnieżdżą, pierzenie bowiem połączone jest z małem cierpieniem, wymagającem ruchu, wody i obfitego pożywienia. Przypuścić można jedynie, że spotykane pisklęta pod jesień pochodzą z drugiego zniesienia, gdy pierwsze zniszczonem było, lub też od samiczek z temperamentem maurytańskim, niezastosowanym do naszego klimatu i do naszych wiosen, które zapłodzone w podróży, nie mogły na czas dolecieć do lęgowiska i gubiły po drodze jaja.

Czy młode słonki szukają także kąpieli, dociec nie mogłem; płoszyłem je najczęściej na suchych miejscach lecz co trudne do uwierzenia, a co jednak kilka razy widziałem na własne oczy, kąpią się chętnie jak wróble w startej ziemi czyli kurzu. Gdy po raz pierwszy spostrzegłem dużego ptaka kąpiącego się i trzepocącego w kurzu, byłem przekonany, że to sojka, a można sobie wyobrazić moje zadziwienie, gdy długi dziób zobaczyłem. Kąpiąc się w taki sposób kładzie się na ziemię, tuli się do niej, trzepie lotkami, z czego powstaje tuman kurzawy, a ona ciągle się rusza, poczem na kilka stóp od tego miejsca odbiegnie, napuszy pierze i strzepnie się kilka razy. Widocznie czyni to w celu pozbycia się trapiących ją owadów. Zdaje mi się, że wyrośnięte słonki pojedynczo opuszczają rodzinne lasy i z gaju w gaj, z lasu w las, jak włóczęgi wałęsają się w Wrześniu, co nam wyjaśnia coroczne pojawianie się pojedynczych słonek w krzakach, w których się nie wywiodły. Na miejscu lęgu nie widywałem ciągnących słonek, mniemam, że rodzice nie wprawiają do lotu porzuconych piskląt, instynktem wiedzione uczą się latać na przestrzeniach dzielących jeden las od drugiego. W górach ciągną licznie, lecz ponieważ wiele ich tam żyje, mogą przeto bezżenne samce i samice ze straconemi zniesieniami być uważane jako młode, ciągnące, przyznać bowiem muszę, iż nie zdarzyło mi się przepędzić nocy w górach, a nieraz tam nocowałem, bez widzenia wieczorami ciągnących ptaków. Ufając podobieństwu koloru pierza do otoczenia, siedzą twardo na jajach i stają się nader często ofiarami lisów, kur, tchórzów i większych sów. Zmyślne wiewiórki, łasice, sojki, sroki polują przeważnie na jaja, niejedno przeto zniesienie bywa spożytem w jajecznicy.

Niemcy swą niezrównaną cierpliwością i wytrwałością oswajali słonki i wychowywali młode poczwarkami mrówek, zwanemi mrówczemi jajami, glistami żywemi,

później siekanemi, z przymieszką bułki maczanej w mleku, po kilku miesiącach jadły samą bułkę, lub zmięszaną z drobno siekanem mięsem. Samce ku wiośnie tokowały, rozkładając w wachlarz ogony, wzdymały pierze i spuszczonemi lotkami pruły ziemię. Na miękkiej ziemi w ogrodzie grzebały dziobem, co dowodzi, że tym sposobem żywią się na wolności. Poznają swego pana i, jak twierdzą, przywiązanie swe okazują, a pociesznymi i karykaturalnymi ruchami bawią i rozweselają.

Ciąg i pożywienie. Zaprawdę nader trudno opisać i oznaczyć termina ciągu słonek, zależą one od sprzyjających wiatrów i stosownej temperatury, budzącej życie w przyrodzie, zależy również od okolicy. Nieraz przysyłano mi wiadomość o ciągu na mokrych nizinach, gdy w mojej okolicy jeszcze śnieg leżał i zimno dokuczało. Gdy jednak termin ostateczny zmusza do wędrówki, wtedy z wysileniem podróżują, zatrzymując się przez krótkie chwile dla wypoczynku. Już około 15. Marca musi myśliwy zorganizować nadzór i oczekiwać wschodniopołudniowego wiatru, przypędzającego słonki do nas, jeżeli zima sroga nie gnębi jeszcze przyrody. Przeciętnie naznacza doświadczenie najobfitsze ciągi między 5. a 15. Kwietnia. Przypominam sobie kilka ciągów wiosennych w połowie Marca, przy wczesnej wiośnie, pomnę również znaczną ilość słonek na zaskorupiałym śniegu i na świeżym puchowym. W roku 1868 18. Marca znalazłem 70—80 słonek w krzakach przy łagodnem powietrzu; zabiłem 23, do południa wystrzelałem wszystkie ładunki i powróciłem do domu. W dzień św. Józefa nie polowałem, a gdyśmy z niepospolitym zapasem amunicyi wyruszyli 20go, nie znaleźliśmy ani jednej. W roku następnym była dosyć wczesna wiosna, słonki siedziały na śniegach, a w r. 1874 ciąg pojedynczych rozpoczął się 15. Marca i trwał do 15. Kwietnia. Wtedy poznałem wytrwałość tych ptaków na dokuczliwe powietrze. Widząc wszędzie po lasach licznie zebrane słonki, codzień na nie polowałem i wtedy padło przeszło 100 ptaków. W tym samym roku w nocy spadł miękki puchowy śnieg, na wysokość dwóch stóp; słonki brnące w śniegu dawały pocieszny widok. Na tej bieli, przed naganiaczami, chciały owe zmarznięte ptaki spieszyć na nogach, nie mogąc łatwo wzlecieć, kołysały się jak kaczki i zapadały po szyję. Był to dla nich dzień krwawy, ani jedna bowiem nie uszła ku letniemu mieszkaniu. Wspominałem już, że słonka mając zwilżone pierze, a szczególnie zamaczany meszek na skórze, nie podlatuje i szuka w nogach ocalenia. Jako stworzenie wielce trwożliwe i ostrożne szuka na wiosnę gąszczów z powodu obnażonych z liści drzew, a zabezpieczając się od zimna i wiatru chroni się do zacisza leśnego. Wyjątkowo w dniach ciepłych i spokojnych można zastać słonki na rzadszych krzakach. Wędrowcy zgłodniali żywią się drobnymi żukami jeszcze bez życia, skorupiakami, wyszukują na mokrej ziemi obumarłe robaki, w ostatecznym głodzie połykają drobne zgniłe korzonki. Wiadomo, jak szybko ptak pożywienie trawi, więc pojąć trudno zaokrąglenie ich ciała przy tak srogim poście na wiosnę; rzadko kiedy widziałem słonki wychudzone i uważam je za wyjątkowe zjawisko. Wtedy trzeba szukać ptaków przy śniegowych wodach, cieplicach, w gąszczach; tam one brodząc, zręcznie wyszukują, co woda odkryła i przyniosła. Wchodząc w wodę, podnosi słonka ogon, spuszcza pionowo dziób i bacznie śledząc postępuje, co chwila zanurza dziób w wodę, upatrzywszy przedmiot żerny, a przy alarmie natychmiast wyskakuje i chroni się w gęstwinę.

W krajach sąsiednich już po pierwszych dniach Marca, niekiedy przy końcu Lutego polują na słonki w Dalmacyi, Siedmiogrodzie i w południowych Węgrzech, widocznie czekają tam ptaki na termin, dozwalający lecieć do naszej zimnej ojczyzny. W opisach zagranicznych autorów czytamy o spotkanych na jajach słonkach w drugiej połowie Marca, co by dowodziło, że do nadreńskich krajów wcześniej nadlatują, jak do nas. Na wiosnę i w jesieni pojawiają się pojedyncze słonki, wystawione na głód i zimno, czy one są wywiadowczymi ptakami, czyli też w Europie zimowały, orzec nie śmiem, uczynię wszakże uwagę, że te pojedyncze słonki niekiedy przez kilka i kilkanaście dni w tych samych lasach przebywały, a zatem przypuścić muszę, że nie powracały do głównych stad, czekających na wiadomość. Tych pojedynczych słonek, rozrzuconych po lasach, bywa niekiedy po kilkanaście, później zaś i to zwiastuje koniec ciągu, zdybujemy parki, ciąg w większych stadach na wiosnę uważam za wyjątkowe zjawisko i mniemam, że są to na północ dążące ptaki, zatrzymujące się dla wypoczynku u nas.

W Galicyi ledwie ze śniegu wydobyły się pniaki i czarne plastry tu i ówdzie odkryły ziemię, gdy jeszcze skąpo wody się sączą, już trzeba śledzić ciągu na tych odkrytych miejscowościach, które znać powinniśmy. Te do słońca uśmiechające się lasy zawsze nam dostarczają słonek, niekiedy na tych ciasnych przestrzeniach siedzą trzy lub cztery słonki zgłodniałe, nie mogąc znaleść innych odkrytych miejsc. Nieraz zdarzało mi się polować przez kilkanaście dni na słonki w białych lasach, podczas spóźnionej wiosny, którą kikakrotnie zima przerywa. Na wiosnę, przy powiewie wschodnio-południowego wiatru, wypada od połowy Marca szukać słonek, w jesieni zaś przy zachodnio-północnym wietrze jest dla myśliwych najkorzystniejszem zjawiskiem, gdy prądy wiatru nie dozwlają ptakom odlecieć. Nader często przekradną się słonki przez białe lasy, w rewirach nietroskliwie dozorowanych. W pierwszych latach mego zawodu myśliwskiego, nie przypuszczając ciągu, niejeden ciąg słonek straciłem, popasłszy u mnie, powędrowały na północ lub w ulubione góry. Śmieszne to, jednak prawdziwe, że kilka razy polowałem na obtropione słonki, lub szedłem po śniegu za tropami, strzelając w powietrzu i na ziemi. Gdy spóźniony ciąg odbywa się ku połowie Kwietnia, to nader często strzelamy słonki z dojrzałemi jajami w jajowodzie; zdarzało mi się też wydobywać jaja z twardą skorupą i dokładnym kolorytem. Przypuszczam, że niektóre pojedyncze byłyby się zniosły w okolicznych lasach, znaczna jednak część wędrowców gubi pierwsze jaja w drodze, nie mogąc z niemi odbywać podróży na północ lub w góry. Ile dni trwać będzie ciąg wiosenny, nikt oznaczyć nie może, zależy to od pory wcześniejszej lub późniejszej zależy również od pożywienia, a przeważnie od wiatru, ułatwiającego podróż. Nader często biedowały u mnie słonki przez dwa tygodnie, oczekując pomocy z nieba, wiatru wschodniego i znaczną opłacały dziesięcinę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MYŚLIWSTWO W SYBERYI

Wspomnienia z tajgi Jenisejskiej.

PRZEZ

Dra JANA JODŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Ostjacy również zręcznie kierują takiemi łódkami za pomocą takich samych wioseł jak Tunguzi. Widzieliśmy ich płynąc sami na barży (wielkiej łodzi) prowadzonej przez parostatek z biegiem rzeki Obi i Irtysza. Doganiali nas, by sprzedać ryby, przecinając zwycięzko bałwany wychodzące z pod kół parostatku. Ostjak dobiwszy do barży wskakiwał na nią ze zręcznością małpy, utrzymując jedną ręką własny statek i zaraz ściągał go do łodzi. Sprzedawszy rybę, spuszczał sam swą łupinę na wodę (szeroką czasem na kilka wiorst), wskakiwał w nią i bez wypadku odbijał. Dla doświadczenia jego zręczności, gdy Ostjak wraz z łódką był na barży, podczas pełnego pochodu parostatku, rzucano mu bochenek chleba na rzekę, spuszczał łódkę, doganiał chleb i wracał do nas, uskuteczniając to wszystko szybko i zręcznie, walcząc nieraz z bałwanami, bijącymi w przeciwnym kierunku.

Prócz ostrogi Tunguzi i Ostjacy, a od nich przejąwszy i stale osiedli mieszkańcy Syberyi, używają latem i zimą tak zwanych samołowów. Samołów jestto hak, z grubego drutu żelaznego różnej wielkości, od kilku do kilkunastu centimetrów długi, kształtu haczyka od wędki. Prosty koniec sklepany na samym końcu, służy do przywiązania do mocnego z włósia sznurka, zagięty zaś koniec dokładnie zaostrzony; w połowie zagięcia przywiązuje się wystrugany na kilka lub kilkanaście cent. długi ostrokrąg, zwykle z kory sosnowej (spławok), wielkością zastosowany do ciężaru haka, by takowy mógł unosić. Haki takie na cieńszych sznureczkach przymocowuje się do grubszego i dowolnie długiego sznura. Co kilka haków, przywiązują najczęściej spore kamyki (gruzki), aby sznur spoczywał wyciągnięty na dnie rzeki. Na jednym końcu sznura przywiązują klocek spory, zwykle sosnowy lub modrzewiowy (napław) dobrze z kory ociosany, by go z dala łatwo dostrzedz można było, a początkowy koniec opatrzony dużym gruzkiem. Tak przygotowany samołów zarzuca się w poprzek rzeki, spławki unoszą haki i odbywają pewne falowanie, ulegając sile prądu i utrzymującemu ich sznurkowi. Ryba często i wielka, zdjęta ciekawością, zbliża się, ogląda, przepływa obok raz i drugi, zaczyna pląsy około spławka „igra z nim“, jak się zastawiający wyrażają, nie zwraca uwagi na hak, który, gdy się go tylko dotknie ciałem, zatrzymuje ją i już nie puszcza, wbijając się przy ruchach coraz głębiej. Widziałem w ten sposób łowione spore jesiotry i sterlety, które zaledwie za płetwę (pławnik) były zaczepione. Zastawiwszy na noc lub rano samołów, wydobywa się go pod wieczór, często z kilkoma rybami; należy jednak wyciągać bardzo wolno i ostrożnie, a często, szczególnie przy większych rybach, trzeba, przyprowadziwszy zdobycz blisko powierzchni wody, nagle poderwać czerpakiem z sieci zrobionym, takim, jakich u nas używają, ryba bowiem ulegając lekkiemu ciągnieniu, spostrzegłszy się za blisko powierzchni, mogłaby silnym rzutem zerwać się z haka, zwłaszcza gdy nie mocno zaczepiona. Gdy ryba wielka, podejmuje się ją zręcznie ostrogą, z boku zwróconą do kormowszczyka sterującego, lub uderza toporem w głowę i dopiero wciąga do łodzi. Zimą przy brzegu wyrębują przeręble i w tych mierzy się głębokość wody tyczką, mając miarę, zawiesza się w pewnej wysokości na sznurku haczyk sporej wielkości, nałożywszy nań ponętę, bądź to kawałek płuc lub rybkę maleńką (naziwa) i zatyka się w dno tyczkę. Rano zwykle obchodzą samołowy, odnawiają przerębłe i wydobywają złapane ryby, najczęściej miętusy (nalimy) pięknych nieraz rozmiarów. Tunguzi i Ostjacy jedzą zwyczajnie soloną, wędzoną, suszoną na słońcu lub gotowaną rybę. Nałowiwszy więcej ryb, niż codzienna potrzeba wymaga, przygotowują je na zapas, który nie jest nigdy obfitym, ponieważ wiodą życie koczujące, w jurtach kształtu ostrokręgu z dość szeroką podstawą. Jurty te urządzają na obranem suchem miejscu, wolnem od zarośli. Ustawiają drągi w krąg potrzebnej wielkości u podstawy, niektóre dłuższe wiążą w górze, a na nich opierają krótsze i przymocowują sznurkami żył, lub ze skóry rena. Na tak zbudowanym szkielecie rozkładają płaty kory brzozowej, układając dachówkowato, od dołu przywiązując sznurkami do drążków. Pozostawiają nie wielki wchodowy otwór, w który tylko na czworakach zmieścić się mogłem, chcąc się dostać do środka i z powrotem. Na środku jurty, na płycie kamiennej, lub po prostu w dołku wybranym, mieści się ognisko, w górze zostawiają otwór, by dym z ogniska mógł wychodzić swobodnie. Nad ogniskiem ustawiają koziołki, albo wbiwszy dwa drążki z widełkowem zakończeniem w górze po stronach ogniska, na trzecim włożonym na widełki zawieszają kociołek lub czajnik miedziany. Ryby do wędzenia wieszają w górnym otworze, nie palą jednak ciągle, więc ryba czasem dobrze pachnie, zanim się uwędzi. To ich nie razi, a nawet lubią w ten sposób przyprawioną i częstując zachwalają, że to „ryba z duszkom“.

Otwór wchodowy zawiesza się skórą rena, często malowaną w deseń zawsze prawie kostkowy, znanemi im roślinnemi i mineralnemi farbami. Skóra tak malowana, służąca za zasłonę wejścia, którą posiadałem (zginęła mi w Warszawie), była malowana trzema kolorami, czerwonym, blado niebieskim i białym; zapytywałem o sposób malowania i farby, lecz nie chcieli powierzyć mi sekretu.

Jurta jest otoczona do około rowkiem wybranym na stopę lub głębiej, który ściekającą wodę z pokrycia na niższe miejsca odprowadza, inaczej mieszkańcy jurty i ich posłania mogłyby spłynąć, bo nawałnice latem dość częste.

W tajdze nie rzadko spotkać można szkielety jurt. W jaki sposób mieszkańcy tych jurt wraz z taborem koczowniczym odbywają podróż, pozwolą szan. czytelnicy, że odstąpiwszy od przedmiotu opiszę. — Do takiej podróży zabierają ruchomości, licząc do tych część lepszą pokryć jurty i nie bogaty sprzęt narodu bardzo bliskiego natury. Rozdzielają te ruchomości na reny według sił, a utroczywszy je zawsze na siodłach i odprawiwszy pewne ceremonie

szamańskie, wszyscy przedstawiciele brzydkiej połowy rodzaju, mogący na własnych nogach odbywać pochody, uzbrojeni w łuki, palmy, siekiery, czasem i gwintówki, a zawsze w gemzy, wyruszają w drogę. Za nimi rusza niebawem i piękna połowa, lecz ta zawsze wierzchem na starszych renach i w pewnym porządku z całem stadem renów. Nie mając pojęcia o damskich siodłach, płeć piękna tunguzka nie wie też i o różnicy ubrania, a na miękko wysłanych czaprakami siodłach jeździ zawsze po męsku, czasem ze znużenia a może dla okazania zręczności i gracyi przekłada nóżki na kark rena, lub siedzi bokiem gawędząc pomiędzy sobą wesoło i paląc gemzy, damy bowiem tunguzkie namiętnie palą. W jednej rączce podtrzymując gemzę, gestykuluje nią, druga rączka trzyma w połowie drążka długi na 2 metry posoch, bez kółka na dole, tylko z kurkiem. Wyglądają więc, na prawdę, jak oddział amazonek z lancami. Posochy służą do kierowania i chwytania niesfornych renów. Zimą mają do nóg przyczepione łyże i gdy ren zapada w śnieg, one opierając się na łyżach, ujmują mu ciężaru. Gawędki i pomiędzy niemi w modzie, materyi nie brak, a zresztą czyż i one nie są córkami matki Ewy, wszak to wspólna ich cnota na całym świecie. Przyglądałem się nieraz, i choć nie rozumiałem, przysłuchiwałem się rozprawom, dość gorąco prowadzonym a często i kłótniom, raz nawet widziałem scenę małżeńską, którą muszę opowiedzieć. W ślicznym wąwozie górskim, o parę wiorst od Titowskiego pryisku kompanii Zotowych, przy rzeczce Kołymie, zatrzymali się Tunguzi, cztery jurty, ze stadem renów. Niedaleko w bok od tego miejsca, zbudowałem w tajdze baraki dla skorbutycznych (cyngotnych). Jeżdżąc tam konno co drugi dzień, zaglądałem i do Tunguzów. Raz pamiętam pod wieczór wracając od chorych, zajechawszy do jurt, zastałem komiczno-tragiczną scenę. Mąż gniewał się o coś na żonę, ta siedziała na zwalonej kłodzie i nie odzywała się do niego. Z tonu głosu mogłem wnosić, iż robi jej wyrzuty i łaje, stopniowo podnosząc głos i szybciej gestykulując, gdy doszedł do najwyższego punktu, podskoczył ku żonie, zagłębił ręce w nietrefioną fryzurę, poczem widziałem, że głowa tunguzki robiła nagłe wahania w rozmaite strony świata, czasem znikało jej oblicze, to znów podnosiło się ku niebu; wtedy oboje wydawali rozmaite głosy. Po chwili skończywszy z fryzurą, spuścił bardzo gęsty grad pięści na plecy ofiary, co trwało z minutę, poczem Tunguz wydał mi się zmęczonym, opuścił ręce, odszedł o kilkanaście kroków i usiadł milcząc na pieńku, oddychając ciężko. Dziwiło mnie, że ofiara podczas ataku nie broniła się wcale, głosiła żale, podnosząc głos coraz silniej, gdy doszła do fortissime, zerwała się z kłody, przybiegła szybko do pnia, na którym mąż znużony spoczywał, i oddała mu piękne za nadobne; targała początkowo tak samo jak on ją za rozczochraną czuprynę, a następnie biła, krzycząc przytem niemiłosiernie. Mąż przyjął atak stoicko również nie broniąc się, czasem tylko wydawał głos, widocznie gdy go więcej zabolało. Wreszcie małżonka zmęczona powróciła na kłodę, a po niejakiej pauzie nastąpił znów atak męża, znoszony również bez najmniejszej chęci bronienia się. Czy odwet nastąpił, nie wiem, bo znudziwszy się tem zaimprowizowanem przedstawieniem, siadłem na koń i pospieszyłem do domu.

Wracam do taboru — pochód otwiera gospodyni, t. żona właściciela stada, głowy całej rodziny, jej zwierzchnika i szamana, za nią matka lub najpoważniejsza wiekiem z rodziny niewiasta, następnie krewne wedle starszeństwa w rodzinie, dalej młodzież i niedorostki płci pięknej i nie pięknej, za niemi idą reny objuczone, powiązane parami, za jucznymi luźne młode, nawet bez siodeł, także parami, a za temi bez straży stare reny, najrozumniejsze z żywemi wjukami, t. j. dziećmi do roku, często nawet do półtora. Bębenek każdy owinięty mocno wyprawną skórą rena, służącą za pieluchę, tak owinięty, że mu tylko czarne żywe ślepki widać, na główkę nakładają jeszcze rodzaj kapturka; w zimie całe ciałko okręca się na pieluchę skórą z włosem. Takiego bałwanka pakują w pudełko z kory brzozowej bez wierzchu, ściągnięte tylko pod szyjką, w połowie ciałka i w nóżkach rzemykami i tak po jednemu lub po dwoje powierzane bywają bez obawy o wypadek jednej rogatej niańce. Jeśli pudełko jest za obszerne, otykają puste miejsca bez ceremonii mchem tak silnie, by przy wytężaniu nawet zawartość z pudełka wysunąć się nie mogła. Takich nianiek bywa i kilka w jednym taborze stosownie do liczby dzieci w rodzinie. Zapytani czy czasem czworonogie niańki nie gubią swych krzyczących juków, Tunguzi odpowiadali, że w takim razie „sobaka priniesiot“ (pies przyniesie). Źle powiedziałem, że tunguziątka prócz rogatej nie mają innej opieki w pochodzie, są tam jeszcze stare psy, towarzysze starych renów i te czuwają wspólnie nad bezpieczeństwem swych młodziutkich panów. Jak te drobne istoty są zahartowane na wszystkie niewygody i zmiany temperatury, posłuży za dowód następne opowiadanie. Kolega mój zimujący w tajdze w kopalni złota, mówił mi, iż pewnego razu w czasie tęgich mrozów, przechodził taki tabor obok kopalni, na której on się znajdował i zatrzymał się tam dla odpoczynku. Tunguzka pokarmiwszy swe w pudełku umieszczone niemowlę, postawiła pudełko wraz z dzieckiem w sieni blisko drzwi, niemowlę za chwilę zaczęło kwilić coraz głośniej, zapytana matka o przyczynę płaczu dziecka, odpowiedziała: „dołżno byt' jemu żarko“ (musi mu być za gorąco), a dokończywszy szklanki czaju, wychodzi z pokoju i stawia sztorcem pudełko, zanurzając do połowy w śniegu, na wierzchołku otaczającego dom do koła wału śniegowego. Dziecina uspokoiła się natychmiast, i wesoło rozglądała się po otaczających ją przedmiotach. (Ciąg dalszy nastąpi).

KNIAŹ-KŁUSOWNIK

przez

Alexandra Ubysza.

Zanim przystąpię do właściwego opowiadania dziejów żywota i czynów dosyć ciekawych w myśliwstwie, jakkolwiek kłusowniczych, mego dobrego niegdyś znajomego kniazia Możarowskiego, muszę je poprzedzić krótkim wywodem jego rodu. Był on istotnie kniaziem. Niechaj jednak czytelnik nie sądzi, że tacy kniaziowie, jakich mamy w Galicyi całą dużą osadę w Lubyczy, używają prerogatyw prawdziwie książęcych. Kniaź a książe to nie jedno, kniaziostwo równa się zupełnie szla-

chectwu. Heraldyka wskazuje, że w dawnej Krasnej czyli Czerwonej, Białej i Czarnej Rusi, stanem wyróżniającym się od kmieci i mieszczaństwa byli kniaziowie, udzielni i zwykli czyli mniejsi. Porównani oni byli najzupełniej ze szlachtą, ostatnich zaś, pomiędzy ludem, stawiały prawa nasze na równi z sołtysami i wójtami. *Volumina legum* z czasów Zygmunta III mówią: Szołtysi, wójtowie, kniaziowie, bojarowie, tak nasi królewscy, jako duchownych i świeckich, każdy płaci z włoki po złotemu. Wacław Potocki (Poczet herbów) mówi: „Dziś książęta na kniazie, a ci w szlachtę prostą pójdą“. Niektórzy historycy twierdzili mylnie, że na Rusi szlachta nosiła nazwę bojarów, bojarami zwano szlachtę rosyjską, mołdo-wołoską i serbską. Nazwa ta powstała właściwie w Serbii i mianowano bojarami wojowników i ich rody. Na Rusi zdobywano sobie ten tytuł na polu walki w czasach samodzielności Rusi. W części Rusi, poddanej panowaniu Austryi, jeden tylko ród Puzynów i osada w Lubyczy tytułują się kniaziami. Pod rządem rosyjskim znacznie więcej takich rodzin, dziś w większej części wygasłych, jak Sołomereccy, jakoteż osad.

Otóż bohater mego opowiadania pochodził z jednej z takich osad, noszącej nazwę Mozyrska, kiedy rząd rosyjski zażądał od całej szlachty dowodów swego szlachectwa czyli legitymacyi, to niejedna rodzina nie mogła dostarczyć dokumentów, które w ciągu wieków zniszczały lub zatracone zostały, nie mogła przeto stwierdzić swego szlachectwa, lubo cała Polska mogłaby o niem świadczyć. Szczególnie gminy nie zdołały dostarczyć dokumentów, więc poszły w chłopy. Tak się też działo z ojcem mego bohatera. Po owym ukazie nie mogąc stwierdzić swego kniaziostwa, zebrawszy na praktyce jurydycznej dosyć znaczny majątek porzucił ojczyste strony, osiadł w Galicyi, gdzie zadzierżawił wieś Woronów koło Bełza. Później został pełnomocnikiem słynnego w swoim czasie Pawłowskiego, uzurpującego sobie tytuł hrabski. Pawłowski znanym był z gwałtownej popędliwości i buty pańskiej. Jak wieść niesie, popełnił on zbrodnię. Upatrzywszy sobie coś do jednego z swych dzierżawców, podrażniony przez tegoż jakąś małą obrazą, kazał swej służbie obić go, ogolić głowę i osadzić w piwnicy. Dzierżawca był nieżonaty i pochodził z Polski Kongresowej, nikt też przez rok prawie nie upomniał się o jego krzywdę. Wreszcie uwiadomił ktoś o tym wypadku W. księcia Konstantego, który przez rosyjskiego ambasadora upomniał się na dworze Wiedeńskim o swego poddanego. Posypały się noty między Wiedniem a Petersburgiem, wreszcie ministeryum sprawiedliwości wysłało osobnego komisarza w celu zbadania całej sprawy. Delegat ministerstwa w asystencyi szwadronu szwoleżerów zjawił się przed domem Pawłowskiego, który przestrzeżony przez Możarowskiego umknął. Więźnia wypuszczono, Pawłowskiemu zaś wytoczono proces o gwałt. Dużo upłynęło czasu, wiele wyłożono pieniędzy, nim się udało Pawłowskiemu zjednać pokrzywdzonego dzierżawcę i tem uniknąć kary. Pośrednikiem w tej sprawie był Możarowski, za które trudy oddał mu Pawłowski w posiadanie wieś Witków przy samym Bełzie położoną. Stary Możarowski był słynnym gospodarzem, co roku spławiał swoją i skupioną pszenicę Bugiem do Gdańska, grosz się mnożył, więc nabył on wkrótce drugą wieś Hoholów od kapitana wojsk napoleońskich Osieckiego. Kapitan ów podczas wyprawy Napoleona do Hiszpanii poznał był i poślubił nadobną jakąś hiszpankę Nazwiska jej z domu nie pamiętali ani mój ojciec ani Onufry Zbrożek, których opowiadania o Pawłowskim starym Możarowskim i kapitanie Osieckim powtarzam. Ojciec mój osobiście znał ową hiszpankę Osiecką, miała to być osoba słuszna, wysmukła i mimo podeszłego już wieku z śladami dawnej piękności. Wyuczyła się ona polskiej mowy, ale wymawiała nader miękko, szepleniąc. O charcie n. p. mówiła: „ten pieś ma pisio jak siupak“ (szczupak). Kapitan Osiecki sprzedał wieś Hoholów z prawem dożywocia dla swej żony i trzech siόstr. Kapitanowa umarła około r. 1840, później siostry po kolei, ostatnia dożywszy lat 80 zmarła w r. 1860. Wszystkie mieszkały do zgonu w Hoholowie.

Stary Możarowski umierając pozostawił synowi Antoniemu oprócz znacznych kapitałów, które w krótkim czasie roztrwonił rozpieszczony i źle wychowany jedynak, wyżej wymienione wsie Witków i Hoholów. Jako dowod bezmyślnego trwonienia ojcowskiego majątku niech posłuży następujące zdarzenie. Antoni licząc wówczas zaledwie 19 lat wieku, wymknął się był swemu opiekunowi Dębickiemu, używającemu wtedy rozgłośnej sławy jako lekarz, lubo był tylko patronem chirurgii i wcale nie orłem w umiejętności lekarskiej. Typowa to była postać, krzykacz, rubacha, kończył radę lekarską zwykle axiomatem: „horywku pyi, czisnyk idż; a budesz zdorów“, zresztą człowiek uczciwy, uczynny i wesoły towarzysz w gęstych podówczas libacyach w okolicy. Owoż Antoni Możarowski wymknąwszy się z pod argusowego oka opieki, pożyczywszy u żydów Bełzkich kilka tysięcy reńskich, dmuchnął do Lwowa. Był to właśnie karnawał, zjazd hulaków z całego kraju. Na jednej z maskarad, odbywających się w pałacu naprzeciw ogrodu jezuickiego, gdzie dziś wznosi się wspaniały gmach Wydziału krajowego, rozrzucił szalony młodzik setki pomarańcz, skupionych w całym Lwowie, a trzeba wiedzieć, że należały one wtedy do delikatesów i płacono sztukę po $1\frac{1}{2}$ cwancygiera (50 centów). Sam mi opowiadał: „było tego mościdzieju (takie miał przysłowie) cały korzec“. Nie wiem, jak przyjęto ten czyn Możarowskiego według jego zdania „pański“, ale to pewne, że straciwszy lekkomyślnie wiele grosza, za ostatniego pół cwancygiera dostał się na furze maziarza do Mostów, a ztamtąd *per pedes apostolorum* pod skrzydła opiekuńcze Dębickiego do Bełza, który wypaliwszy mu boćkowską admonicyę, oddał go jako kadeta do pułku ułanów austryackich. Rycerka ta trwała około półtora roku z niemałym także ubytkiem ojcowskiego grosza, a skończyła się ze śmiercią opiekuna. Odtąd Możarowski hulał, bąki zbijał i namiętnie polował w całej okolicy, nawet ze słynnym Romanowskim, o którym pisałem w „Łowcu“ w gawędzie mojej: Tanas.

Może ów wstęp do właściwego opowiadania nieco za długi, ale zdawało mi się potrzebnem poprzedzić je szkicem przeszłości mego kniazia-kłusownika, którego główną cechą była owa przez W. Pola makaronicznie nazwana *buta polonica.* Nie mam zamiaru pisać powieści ani też malować obraz obyczajów owego czasu, mimo iż ta rodzina dostatecznego dostarczyłaby na ten cel materyału; mojem zadaniem przedstawić czytelnikowi typową postać szlachcica-kłusownika, więc ciągnę dalej o nim opowiadanie. Możarowski po roztrwonieniu ojcowskiego majątku zmuszonym był wreszcie z żoną i czworgiem dzieci osiąść w Bełzie wydzierżawiwszy Witków. Dzierżawca składał czynsz w depozycie sądowym, las zamknięto, Możarowski odebrał ów czynsz dopiero po ośmiu latach, a tymczasem żył niemal w nędzy. Pozbawiony prawa pożytkowania z swej własnej ziemi, nie mogąc dogodzić namiętności myśliwskiej w swoich lasach, polował sposobem kłusowniczym, przywykł do takiego trybu życia i trwał w nim już aż do śmierci. Ciekawe te dzieje opowiadał mi on sam i przyjaciel jego Onufry Poraj, dziś już nie żyjący. „Las mi zamknięto w obu majątkach, w Witkowie i w dożywotnim Hoholowie, czynsz dzierżawny rąk moich nie dochodził, straszna nędza poczęła gnieść mnie i rodzinę moją,

u nikogo nie znalazłem pomocy. Krewnych nie miałem po rodzicach, jedyny przyjaciel ubogi mimo najlepszych chęci pomódz mi nie mógł, żydzi za długi zabrali mi wszystkie niemal sprzęty domowe, prześladowali na każdym kroku, ścigali mnie wyrobiwszy areszt na moją osobę. By wyżywić rodzinę, jąłem się kłusownictwa, polowałem w lasach Karowskich, Uhnowskich, Ulwuwieckich i innych na sarny, dziki i zające, błota Bełzkie Witkowskie, Jastrzębickie i nadbużańskie były moją spiżarnią. Włócząc się po kniejach i moczarach chroniłem się od więzienia za długi, a nocą dostarczałem rodzinie mojej pożywienia z dziczyzny, lub niosłem albo odwoziłem zwierzynę na sprzedaż do Żółkwi, a nawet do Lwowa. Ileż to nocy spędziłem czatując przy blasku księżyca na zwierzynę na żer wychodzącą. Mniej takie życie dolegało na wiosnę, w lecie lub jesieni, ale strasznem ono było dla mnie w zimie podczas śnieżnic i twardych mrozów, źle odzianego lub obutego. W dzień po tropie darłem się przez gąszcza, by podejść sarny w ostoi lub dziki w barłogach. Psa nie mogłem używać, boby mnie głosem zdradził, po strzale brałem mniejszą zwierzynę na plecy, większą n p. dzika ukrywałem w gąszczu i umykałem co tchu, bo straż leśna prześladowała mnie. Ilem to ja walk stoczył z leśniczymi i gajowymi zawsze zwycięzkich. Mnóstwo skarg na mnie wnoszono do urzędów, cytacye noszono mi do domu, ale ja żartowałem sobie z nich w mojem bezpiecznem ukryciu w tej lub owej ostrowie błot Bełzkich, Witkowskich lub nadbużańskich. Gdy już bardzo było ze mną krucho, gdy wierzyciele lub urzędy obławy na mnie czynili, przekradałem się błotami Bełzkiemi do Woronowa do Adama Zbrożka lub Ostobobuża Feliksa Ubysza, gdzie znajdowałem bezpieczne schronienie, a rodzina moja wieść o mnie i pomoc tych zacnych ludzi. Tak mi już żydzi byli dokuczyli, iż idąc za radą Adama Zbrożka udałem się do rabina Bełzkiego, słynnego między żydami całej Europy z mądrości i cudotwórczości, a między katolikami z poczciwości. Otóż rozpaczą wiedziony idę do niego. W jego mieszkaniu zastaję siedmiu miszuresów, chłopców młodych, zatopionych w księgach, kiwających się i mruczących z cicha czytane ustępy talmudu. Mruczenie to podobnem było do szmeru w ulu pszczelnym, gdy wieczorem w czasie skwarów letnich pszczoły, jak twierdzą pasiecznicy, „chłodzą“ matce duszną atmosferę, ruszając skrzydłami. Pytam jednego z nich: „Pan rabin w domu?“— „Ts — odpowiada — Rebbe szluft“. Czekam tedy godzinę, zniecierpliwiony nalegam, wstał jeden z miszuresów i lekko uchyliwszy drzwi zaglądnął. Po chwili mówi z ekstazą: „Aj waj! Rebbe z samym Bogiem rozmawia“. Więc trzeba czekać końca tej rozmowy. Wtem nagle otwierają się drzwi i Rebbe w całej okazałości stanął przedemną. Żydziaki w dowód czci wybuchli wielkim głosem: wej! wej! i pełnym głosem poczęli śpiewać odczytany ustęp z biblii. „Sztyl“! zawołał Rebbe, poczem przemówił: „Wiedziałem, że pan przyjdzie“, na co miszuresy podziwiając wszechwiedzę mistrza zawołali: „C! c! ach!“ — „Proszę za mną“ — dodał rabin wcale dobrą polszczyzną. Usiadł na dużej staroświeckiej sofie, pokrytej czarną włosienną materyą, a mnie wskazał krzesło. Opowiedziałem całą moją niedolę z żydami, kondemnaty na mnie wyjednane, oraz dodałem, że teraz długów spłacić nie mogę. „A gdy pan będzie miał“, rzucił rabin. „To oddam“ — „Ręka“? Podałem mu dłoń. „Dobrze — odrzekł — przykażę, by pana nie prześladowali przez lat pięć, wystarczy?“ — „Wystarczy, odrzekłem, ale uchwały sądowe?“ — „Et“ — odparł z lekceważeniem — „moja uchwała będzie ważniejszą“. Ale czy żydzi usłuchają? — zarzuciłem. „Co?“ zawołał groźnie błysnąwszy przygasłemi od wieku (miał wówczas lat 80) oczami. Przystąpiwszy do dużego biura, nakreślił na małej żółtej karteczce kilka hebrajskich wyrazów i doręczył mi ją mówiąc: „Bądź pan spokojny, teraz od żydów i sądów żadna panu nie grozi nieprzyjemność“. Złożywszy szczere dzięki wahałem się, czy mam mu złożyć 6 cwancygierów, które jako honoraryum za tę konsultacyę przeznaczyłem. „Wiem, co pan zamyśla — przemówił rabin z lekkim uśmiechem — grosz ten przeznaczony dla mnie rozdaj pan ubogim w jednej połowie chrześciańskim, w drugiej żydowskim. Wyszedłem, miszuresy jakby inni, z uniżonością jeden podał mi laskę, drugi otworzył drzwi, a wszyscy ciekawie i z uwielbieniem mi się przypatrywali. Może który z nich dał znać żydowskim mieszkańcom Bełza, że jestem u rabina i z nim długo rozmawiam, bo kiedym wyszedł od niego, tłumy żydów stały przed domem, a nie brakło między nimi i moich wierzycieli. Podbiegli oni ku mnie z wyrzutami: „pan nas zaskarżył, zgubił, co Rebbe powiedział?“ Okazałem im karteczkę. Trzeba było widzieć miny tych Shyloków. djabeł nagabujący Twardowskiego, mający dopełnić ostatniego warunku, skąpania się w wodzie święconej, nie skurczył się tak boleśnie, nie umknął tak spiesznie, jak owi Szlomy, Hersze i t. d. Reszta z nabożną czcią dotykała świętego pisma. Z niezwykłą uprzejmością wypytywali, co Rebbe mówił, a może co dał. „A dał — odrzekłem — 6 cwancygierów“. Gwarnie opadli mnie: „My te cwancygiera od pana kupimy, zapłacimy dobrze“. Cała czerń odprowadziła mnie aż do mieszkania, po drodze rozdałem dwa cwancygiery żydowskim, a trzy chrześciańskim żebrakom, szóstego zachowałem, „bo widzisz taka moneta przynosi szczęście“. Wnet poczęła się hałaśliwa licytacya owych cwancygierów. Żebracy żydowscy odprzedali swoje po 10 złr. za sztukę, od chrześciańskich żydzi znacznie taniej je wydrwili. Tegoż dnia zebrało się nadzwyczajne posiedzenie kahalne. Rabin zabronił prześladowania mnie — odetchnąłem W krótkim czasie sądowe rezolucye uwiadomiły mnie, że wierzyciele moi żydzi od wszelkich pretensyi do mnie odstąpili.

Był więc spokój, lecz nie było z czego żyć, polowałem więc dawnym trybem na cudzych terytoryach. Nie wszystka szlachta broniła mi polowania, a gdzie mnie na gorącym schwytano uczynku, musiałem kolbą, a nawet odwiedzionym kurkiem bronić osobistej wolności. Najzaciętsze walki staczałem w własnych Witkowskim i Hoholowskim lasach. Zakazano mi w nich polowania i wyrębu, cyrkuł poruczył nadzór nad temi kniejami koloniście Niemcowi z Sapieżanki pod Kamionką Strumiłową. Dobrawszy sobie do pomocy dwóch szwabów jako gajowych, kradł drzewo, a mnie gorliwie polowania wzbraniał i nieustanne skargi wnosił do władz. Odpłaciłem mu też sowicie krzywdę moją razami kolbą lub pięścią. Doszło do tego, że nie on mnie, lecz ja jego szukał; nie spotkawszy się z nim w lesie, szedłem na leśniczówkę i tam w własnem jego mieszkaniu sprawiałem mu łaźnię. W końcu Johann Krieger wyjednał sobie asystencyę wojskową z trzech żołnierzy, którzy go strzegli i patrolowali po lesie. Polowałem na przekorę, ale tylko w nocy. Niemal przez pół roku nie spotykaliśmy się z sobą, ale pewnej niedzieli wlazł mi Niemiec w samem mieście w drogę, więc zbuzowałem go siarczyście, za co odsiedziałem 8 dni aresztu w magistracie Bełzkim.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Wasylówka (Ukraina).

Czwarte polowanie nasze w rządowych kalinowieckich lasach i sąsiednich z nimi kniejach obywatelskich, odbyło się z przygodami dość komicznemi, co może myśliwych zainteresować i służyć za przestrogę.

Wyprawa ta nasza miała uroku dużo; sam bowiem biwak nasz charakteryzował myśliwych, którym nie chodziło o komfort, lecz o ekscentryczne wrażenia, których człowiek w domowej zagrodzie, w życiu normalnem stara się unikać; tu jednak w trudach i niewygodzie ten moment nienormalnego życia był dla nas wszystkich pożądany i miły. Futor wśród lasu, składający się nie więcej jak z ośmiu chat wieśniaczych, zaszumiał gwarem myśliwych, gdyśmy się rozlokowali w trzech sąsiadujących z sobą chatach, stanowiących na teraz czasową naszą rezydencyę. Dwudziestu myśliwych z usługą i psiarnią, miało choć ciasny ale wesoły kątek. Po rozlokowaniu się zaczęliśmy ciągnąć losy, komu z nas wypadnie być gospodarzem, którego obowiązkiem było prowadzić porządek w rzeczach kulinarnych tak, abyśmy po całodziennych ekskursyach nie doznawali głodu. Gospodarza obowiązek uciążliwy, ale każdy gotów był poddać się losowi, z ujmą własnej przyjemności, dla której tu przybył, a której ledwo w polowie mógł użytkować. Prowizyę, jaką każdy z nas przywiózł z sobą na tę wyprawę, znieśliśmy i oddali w rozporządzenie gospodarza. W tak przyjemnem towarzystwie kolegów i przy właściwem dla myśliwych użytkowaniu czasu, kolacye, herbata i śniadania przy bawardzie smaczniejszemi były, niżeli przy najwykwintniejszych stołach. Sen tylko nam dopisywać nie mógł, bo gdzie ośmiu pokotem leżąc zasypia, tam nim ostatni zaśnie, pierwszego sen nie bierze i budzi towarzystwo całe. Podzieleni byliśmy na trzy grupy, w dwóch chatach po ośmiu, a czterech wiekiem starszych w trzeciej, gdzie schodziliśmy się na herbatę, śniadania i obiady. W hurcie takim, przykraszone wesołą gawędką, smakowało nam wszystko, a przy obiedzie butelczyna niejednemu humoru dodała; smętnych myśli jakby nie było na świecie. Nie masz przyjemniejszego życia, jak w towarzystwie kolegów, dążących do tegoż samego celu.

Odchodząc od rzeczy, którą kolegom myśliwym zamierzyłem zakomunikować, muszę powiedzieć, że prawo nasze krajowe nie wzmiankuje w biletach, danych na prawo polowania w rewirach rządowych, by kozłów strzelać nie wolno było, powiedziano tylko: sarn strzelać nie wolno; a więc każdy myśliwy, gdy mu się strzał do kozła nadarzy, strzela do niego jak do swego, a trzymając się litery prawa, sarnom prócz pięknego ukłonu innej krzywdy nie robi. Ubito tym razem kozłów 7, zajęcy 3.

Leśnik rządowy, którego tytułują konduktorem leśnym, będąc złej woli na jednego z kolegów naszych, starał się robić nam rozmaite szykany utrzymując, że prawo tylko dziki i drobną zwierzynę dozwala strzelać. Tym razem do dzików nie strzelano pomimo, że w dwóch ostępach były widziane, wymykały się bezkarnie; strzelano do kozłów powodując się literą prawa i te padły ofiarą. Konduktor wywiedziawszy się, że mamy zakopertowane w pudle trzy sarny, a nie wiedząc, że to były trofea z sąsiednich, nierządowych lasów, zagiął parol, by gdy będziemy zdawać bagaże na kolei, przyaresztować zwierzynę i nie przypuszczał, by jej na dworcu własnemi oczami nie oglądał. Jak na toż bagaż był już zdany, kiedy konduktor z taksatorem przybyli i oświadczyli żandarmowi, że mają robić protokół, będąc pewni, żeśmy nadużyli prawa. Jeden z kolegów naszych oburzył się na takie *dictum* i ostrem słowem dotknął taksatora, a tymczasem pociąg ruszył. Na następnej stacyi korzystając, że pociąg zatrzymuje się na pół godziny, wysiedliśmy z wagonów, by cośkolwiek przekąsić, wtem niespodziewanie zjawiają się żandarmi oświadczając, że muszą przepatrzeć nasze bagaże. Widocznie panowie leśni urzędnicy, szukając zemsty, posłali tu telegram, by żandarmi nasz bagaż przepatrzyli i zrobili akt oskarżenia. Żandarmi, jak się pokazało, pudło nasze z trzema sarnami już przejrzeli i sporządzili formalny akt, brakowało stwierdzić go naszymi podpisami, w zamian czego, ponieważ władzy uledz wypadało, złożyliśmy oświadczenie, że rzeczywiście mamy w drewnianem pudle trzy sarny, które upolowane zostały nie w rządowym lesie, lecz w sąsiednich kniejach, należących do osób prywatnych, na co mamy świadka Pana Naczelnika powiatu, który jest tu obecnym, a ten, zapytany przez żandarmów, słowa nasze potwierdził. Obeszło się zatem bez aktu; konduktora zdybało fiasko, który widocznie liczył na aferę, zemsta jego spełzła na niczem, my zaś mieliśmy zręczność do żartów z nieobecnych figur, które doznały zawodu. Umieszczam ten artykuł, jako przestrogę kolegom, do zachowania ostrożności z panami podobnych posad.

Antoni Rokszyc Zapolski.

Z Lubartowskich lasów.

Spóźniłem się w tym roku z przesłaniem wiadomości o naszych polowaniach. Prawda, łupy nasze nie są wcale tak znaczne, by warto było chwalić się nimi. Polowaliśmy nie wiele, naprzód w chęci zaoszczędzenia i tak już przez ciężką zimę dziesiątkowanej zwierzyny, a potem i dla tego, że śniegi, które i u nas, tak jak w innych okolicach kraju w niepamiętnej spadły ilości, utrudniały polowanie czy to z naganką czy z psami. W tegorocznym sezonie zabiliśmy w kniei: łosia 1, rogaczy 3, lisów 6, zajęcy 74 na 6 polowaniach. W ogóle zauważyliśmy z radością nieznaczne wprawdzie, ale jednak polepszenia zwierzostanu. Z pewnością wiele się tu przyczyniła pomyślna dla zwierzyny zeszłoroczna wiosna i poprzedzająca ją lekka zima, ale w każdym razie i zwiększony dozór rozciągnięty przez teraźniejszego, sprężystszego od poprzedników nadleśnego, nie był bez korzyści. Szczególniej liczba sarn powiększyła się znacznie, w jednym np. niewielkim, ale oszczędzanym więcej jak inne okręgu, chodząc po lesie, w przeciągu paru godzin ruszyliśmy 18 sztuk.

Dawno nie pamiętamy tak znacznej ilości kuropatw jak w ubiegłym roku, to też setki ich zanotowaliśmy w rubryce tegorocznych łupów. Za to błotne ptactwo nie dopisało. W ogóle dobrych miejsc dla dubeltów nie mamy; chcąc użyć przyjemności tego polowania, trzeba kilka mil jeździć pod Rozkopaczem lub Łęczną, a w tym roku nawet o kszyka było trudno. Ja sam polując nie mniej niż w innych latach, zabiłem tylko 38 bekasów, czyli mniej niż połowę ilości, jaką zwykle zabijałem. Powodem tego było nadzwyczaj suche lato, w skutek czego dużo obfitujących dawniej w bekasy błotek wyschło prawie zupełnie. Kaczek na wielkich naszych stawach była, jak zwykle, obfitość, na mniejszych nie wiele.

Opisując w roku zeszłym dokładniej polowanie na łosia, przyrzekłem donieść o losie dwu innych łosiów, które się zjawiły u nas jednocześnie z zabitym. Otóż postanowiono je, a były to: piękny rogacz i klempa, o ile można ochraniać,

choć nadzieja utrzymania ich stałego, przypuściwszy że w 200 włókowym lesie utrzymać się mogą, była bardzo słaba z powodu wielkiej ilości kłusowników. Trzymały się tedy przeszło przez dwa tygodnie, ale razu jednego podeszły pod granicę sąsiedniego majątku Szczuchnia, gdzie młynarczyk, pełniący tam zarazem obowiązek nadwornego dostawcy zwierzyny, strzelił do nich; nie zabił wprawdzie, ale spłoszył. Łosie po tym zamachu na ich życie, wyniosły się z naszych stron, a co się z nimi później stało, dokąd poszły, nie wiem.

Zanotować mi wypada nadzwyczaj rzadki strzał nadleśnego p Lipskiego. Potrzeba raz było kozła. Nadleśny wybrał się z jednym towarzyszem do lasu z psami, z którymi gajowy zaszedł od bagna, znanego sarn stanowiska. Psy wkrótce się odezwały i za chwilę na nadleśnego wyszły dwie sztuki. W idącej przodem poznał p. L. kozła, złożył się więc i pociągnął za cyngiel, ale prawa lufa kapiszonówki zawiodła. Na trzask kapiszona koziołek przodem idący przystanął na chwilę, druga sztuka z nim się prawie zrównała tak, że równo ze strzałem z drugiej lufy padły obiedwie sztuki. Każdy z myśliwych wystawi sobie, jak przykrego doznał wrażenia p. L. widząc, że wraz z kozłem zabił i kozę. Ale cóż było robić, stało się, zbliża się więc ku swym ofiarom leżącym na śniegu i... oczom swoim nie chciał prawie wierzyć — przed nim leżały dwa piękne dwuletnie koziołki, z których jeden dostał prawie cały nabój w komorę, a drugi jedną loftkę w szyję. Z pewnością nie wielu z czytających te słowa myśliwych, może się poszczycić tak szczęśliwym strzałem! *B. Gepner.*

KRONIKA.

Szanowny Panie Redaktorze! Niespodziany atak jaki na mnie pp. Krzysztofowicz i Głuchowski wykonali, zmusza mnie udać się do Pana w tej sprawie, a aczkolwiek szan. Redakcya oświadczyła, że w kwestyi, która była źródłem polemiki, łamy swego dziennika zamyka, to jednak mam pewność, że dawszy przytułek w kolumnach dziennika niesłusznym posądzeniom, uznać zechce, że zamykać je dla obrony nie uchodzi i że *par consequence* te słów kilka w Lipcowym numerze „Łowca“ umieszczone zostaną. Nie będę tu dotykał ustępów artykułów wymienionych panów, które mnie prywatnie obchodzą. Prywatne sprawy należy też tak samo traktować, i ja, stosując się do tej maxymy, z autorami tych ustępów będę miał zapewne zaszczyt prywatnie tę sprawę załatwić, a jeżeli tego dotąd nie dopełniono, to jedynie dla tej przyczyny, że artykuły te dopiero przed kilku dniami doszły rąk moich i że dopiero od paru dni znajomy mi jest ich adres i miejsce pobytu wspomnianych panów. Tutaj pragnę tylko podnieść jeden punkt niejako publicznej natury, którego ci panowie dotknęli, wyprowadzając sprawę kart myśliwskich, przezemnie omawianą, na pole obrazy narodowościowej. Pisząc mój o kartach myśliwskich artykuł, ani myśli, ani zamiaru dotknięcia współziomków moich pochodzenia ormiańskiego nie miałem; trzeba więc mieć wiele czy to imaginacyi, czy drażliwości nerwów, by w lekko żartobliwym stylu mojego artykułu ujrzeć dotknięcie kogokolwiek a tem więcej współziomków moich ormiańskiego pochodzenia jako takich. Styl ten mógłby być użytym ze strony n. p. koroniarza do litwina i odwrotnie, a żaden z nich z pewnościąby się nie uraził. By zaś nazwa lub wspomnienie o Armenii, ormianach, lub tego co się do nich odnosi, miało być obrazą, o tem się dopiero z artykułów pp. K. i G. dowiedziałem. Jak my przed 50ciu kilku laty do Francyi, tak po największej części przodkowie polaków pochodzenia ormiańskiego przybyli do nas przed wiekami jako dobrej sprawy zwycięzeni żołnierze. Myślę, że żaden z sfrancuziałych nawet polaków, we Francyi osiadłych, nie urazi się, gdy go kto nazwie polakiem. Polacy ormiańskiego pochodzenia, często tegoż nawet już nieświadomi, zlali się z krajem i ludnością, jak litwini, żmudzini i inni, a zarzut komukolwiek zrobiony, że o najlepszych może synach tego kraju wspomniał w sensie obrazy, jest istotnie dziwnym. Do tej samej kategoryi zaliczyć muszę zboczenie od materyi jednego z tych panów w sfery wyrobu obuwia i szewca Kilińskiego, *à propos* której to kwestyi nie w porę przezeń podniesionej, mogę zaręczyć publikę „Łowca“ czytającą, że więcej z pewnością czułbym się zaszczyconym, gdyby mi np. stopy szewca Kilińskiego ucałować dziś było dozwolonem, że daleko więcej czułbym się dumnym z uściśnienia ręki każdego uczciwego szewca, aniżeli podaniem jej potomkom karmazynów, jeśli tego nie warci. W każdym razie dziwić się tylko przychodzi, że kto się czuł urażonym, nie szukał innej drogi zwykle w takich razach wskazanej, lecz wybrał do oznajmienia tego szpalty dziennikarskie.

Lwów, 14. Czerwca 1886. *Bolesław Jordan.*

P. R. Po tem wyjaśnieniu sprawy spornej ze strony szan. pana B. Jordana, po osobistem porozumieniu się z nim, nie wątpimy, iż sprawa ta dosyć burzliwie rozpoczęta, wejdzie na tory wzajemnego wyrozumienia, jesteśmy bowiem przekonani, że istotnego powodu do waśni osobistej nie ma i rzecz właściwie polega na mylnem ocenieniu słów, nie dosyć jasno wyrażonych.

Wykaz ubitej zwierzyny w Galicyi w r. 1885, wniesiony przez c. k. Namiestnictwo lwowskie do Ministeryum rolnictwa w Wiedniu.

Pożytecznej: jeleni 39, danieli 37, sarn 5362, dzików 1286, zajęcy 55.429, królików 24, głuszców 52, cietrzewi 356, jarząbków 1215, pardw 52 (?), bażantów 531, kuropatw 20.001, przepiórek 30.688, słonek 7608, bekasów 14.565, dzikich gęsi 431, dzikich kaczek 13.964.

Szkodliwej: niedźwiedzi 10, wilków 94, rysiów 22, lisów 6027, kun 593, tchórzów 496, wydr 221, dzikich kotów 87, borsuków 354. Z ptactwa: orłów 324, puhaczów 329, jastrzębi, sokołów krogulców 6923, sów 1417.

Jeleni ubito: Bohorodczany 1, Dolina 2, Drohobycz 1, Kałusz 6, Kraków 21, Lisko 2, Nadwórna 1, Nisko 2, Ropczyce 1, Stryj 1, Turka 1; zajęcy nad 1500: Biała 1839, Borszczów 2166, Brzesko 1526, Chrzanów 3700, Gorlice 1800, Jasło 1725, Wadowice 2155, Złoczów 2400; głuszców: Biała 5, Kałusz 5, Kosów 25, Nadwórna 5, Stryj 8; cietrzewi: Bohorodczany 10, Brody 3, Cieszanów 6, Dolina 9, Drohobycz 4, Kałusz 9, Kamionka Strum. 39, Kosów 7, Limanowa 16, Nadwórna 108, Nisko 14, Rawa 19, Stanisławów 39, Stryj 25, Tłumacz 20, Żółkiew 21; pardw (bardzo wątpliwych P. R.): Kałusz 5, Kosów 3, Trembowla 44; bażantów: Buczacz 20, Chrzanów 21, Husiatyn 60, Łańcut 14, Nisko 10, Tarnopol 35, Wadowice 343; kuropatw nad 100: Biała 1267, Bóbrka 137, Bochnia 150, Borszczów 130, Brody 463, Chrzanów 2041, Czortków 200, Dąbrowa 200, Jarosław 140, Jasło 542, Jaworów 254, Kamionka str. 670, Kołomyja 350, Kraków 203, Łańcut 311, Lisko 245, Lwów 350, Mielec 1020, Mościska 470, Myślenice 189, Nisko 467, Nowy Sącz 166, Podhajce 491, Przemyśl 800, Rawa 417, Ropczyce 352, Rzeszów 700, Sambor 300, Skałat 231, Stryj 156, Tarnobrzeg 390, Tarnów 514, Tłumacz 300, Wadowice 1209, Wieliczka 200, Zaleszczyki 329, Złoczów 1600, Żółkiew 280; sarn nad 100: Bóbrka 163, Bochnia 186, Dolina 182, Drohobycz 295, Kamionka str. 122, Mościska 182, Nisko 169, Rawa 207, Sambor 140, Stryj 190, Złoczów 120, Żydaczów 123, Żywiec 349; słonek nad 100: Bóbrka 206, Bochnia 400, Borszczów 295, Czortków 190, Jasło 625, Kamionka str. 201, Lwów 250, Mościska 120, Myślenice 120, Podhajce 230, Rohatyn 120, Sambor 300, Sokal 270, Stanisławów 129, Stryj 114, Tłumacz 180, Wadowice 141, Zaleszczyki 145, Złoczów 1230; niedźwiedzi: Dolina 5, Drohobycz 1, Kosów 1, Nadwórna 1, Stryj 2; wilków: Cieszanów 2, Czortków 4, Gorlice 2, Husiatyn 6, Jaworów 7, Kałusz 2, Kamionka str. 4, Kołomyja 7, Kosów 3, Krosno 2, Limanowa 4, Nadwórna 2, Przemyślany 3, Rawa 6, Sokal 13, Stryj 15, Zbaraż 5; rysiów: Dolina 5, Drohobycz 2, Kałusz 3, Nadwórna 4, Stryj 4; lisów nad 100: Bóbrka 189, Borszczów 137, Brzesko 197, Brzeżany 172, Jasło 136, Kamionka str. 211, Nisko 183, Przemyśl 190, Rawa 152, Rohatyn 180, Rzeszów 120, Stryj 185, Złoczów 250, Żółkiew 120, Zydaczów 160.

Szanowni czytelnicy „Łowca“ zechcą porównać niniejszy wykaz z takimi z lat poprzednich, a porównanie da im przybliżony obraz zwierzostanu w kraju.

Panu radcy lasowemu Gustawowi Lettnerowi składamy podziękę za coroczne udzielanie nam owego wykazu.

Lwowskie Towarzystwo myśliwskie im. św. Huberta odbyło dnia 31. Maja doroczne swe walne zgromadzenie. W ubiegłym roku Towarzystwo miało na liście 96 członków, w tej liczbie 84 rzeczywiście czynnych, a to w 15 sekcyach, czyli kołach myśliwskich. Obszary tych kół, obejmujące około 70 terytoryów dworskich i gminnych pod Lwowem, jako też w różnych stronach kraju, zawierają do 70.000 morgów kniei i 200.000 morgów pól, łąk błot itd. Na rok następny wybrało walne zgromadzenie ponownie prezesem p. Bronisława Komorowskiego, literata; zastępcą prezesa pana Fortunata Strońskiego, em. sędziego, sekretarzem p. Karola Jarosiewicza, komisarza kraj. dyrekcyi skarbu; skarbnikiem p. Alfreda Dzikowskiego, kupca; wreszcie przewodniczącymi pojedynczych kół pp. K. Rożanowskiego, M. Hamskiego, F. Hallera, A. Szczawińskiego, L. Dziubińskiego, W. Szuchiewicza, Sz. Trzcińskiego, I. Perellego, P. Freunda, W. Pannenkę, K. Rojowskiego, W. Daszyńskiego, W. Zontaka. *(Gaz. Nar)*

Przeworsk 2. Czerwca.

Donoszę, iż u mnie w skutek nadzwyczajnie ostrej zimy zginęło 10 sarn, zające przezimowały bardzo dobrze, ale mimo obfitego karmienia wyrządzały wielkie szkody. Bażanty, których puściłem w 90morgowym lasku, nieogrodzonym wśród pól w r 1884 na próbę 3 sztuki, tj. koguta i dwie kury, które dostałem z bażantarni Tyczyńskiej, tak się udały, że w tym roku mam 17 kur dziko siedzących na jajach, a 115 jaj pod indyczkami. Najwcześniejsze wyjdą 4. lub 5. b. m. Rzeczą jest ciekawą, że podczas ubiegłej ostrej zimy najzdrowsze były te bażanty, które zimowały na dworze, w lesie, zamknięte zaś w budzie były źle opierzone i wyglądały chore, a koguty nie miały nawet dobrze wykształconych korali. Kuropatwy niestety prawie do szczętu wyginęły. Rogaczy na podjeździe zabiłem dwa. *A. L.*

Podwysokie, Czerwiec.

Przewidując złe skutki dla kraju Ustawy wprowadzającej karty myśliwskie, jestem i będę jej przeciwnikiem, a tyle już o tem pisano, że nie chcę powodów powtarzać; wspomnę tylko o kilku kłusownikach, których pewnie nowa Ustawa nie poskromi. W Horożanie małej znam takich dwóch: kowala i stelmacha. Polują oni ciągle ze strzelbami, które ukrywają w polu. Stelmach robi łoże, a kowal kupuje jakąbądź rurkę żelazną, resztę dorabia i tworzy się z tego strzelba, z której biją dosyć zwierzyny, a więcej jej kaleczą. Są zarobnikami, nic nie posiadają, jakżeż ich karać za kłusownictwo, grzywnę z nich ściągnąć nie można, a areszt, wszakże to raj dla naszego chłopa. Kilka razy odebrał im żandarm strzelby, za dwa dni mieli inne. Ubiegłego roku sam odebrałem kowalowi strzelbę, na co mi oświadczył: „jutro będę miał inną, cała strzelba kosztuje mnie 2 zlr., a zwierzyny codzień ubiję tyle, że mam co jeść i sprzedać. Pójdę do aresztu, to jeść dostanę, obsłużą mnie, a jak tam będę co robił, to jeszcze do domu przyniosę pieniądze.“ W lecie zeszłego roku odebrał tutejszy pisarz ekonomiczny strzelbę polującym na błotne ptactwo, do dziś jest ona u mnie, bo właściciel jej podzielając zapewne zdanie kowala nie zgłosił się po nią. Lufa jej podobna do rury gazowej, przymocowana drutem do kawałka drzewa (P. R. prosimy o nią do Muzeum myśliwskiego przy Szkole lasowej), z boku kurek bez spustów, któremu siłę uderzenia nadaje sprężyna odpychająca. Było wówczas trzech takich kłusowników, wszyscy mieli sporo ubitego ptactwa, z którem umknęli. Przechodząc przez naddniestrzańskie błota od wczesnej wiosny do późnej jesieni, ileż to tam znajdziemy sideł, łapek nastawianych, ile to tam ptactwa schwytanego, któż zdoła wyśledzić nastawiających i zbierających? Dzieje się to pod zasłoną nocy, bujnych i gęstych traw. Kto i kiedy wytępi tę armię kłusowników, dla których to rzemiosło tak intratne, czyż wytępi ich obecna Ustawa sejmowa i opłata od kart myśliwskich? Czyż w celu położenia tamy temu bezprawiu, zamiast poparcia u kompetentnych stron, trzeba utrudniać ową zbawienną czynność wysoką opłatą? Czyż nie zwichnie nowa Ustawa dobrej woli w tym kierunku? Niech naprzód kraj wytępi wszelkie drapieżnictwo, wtedy będzie miał prawo powiedzieć: „Myśliwi! Kosztem i trudem uwolniliśmy was od drapieżników, przyjemność wasza i korzyść pomnożona, płaćcie za to sowicie.“ Wtedy nie tylko 9 złr. 50 ct., ale znacznie więcej zapłaci każdy właściciel polowania, każdy myśliwy bardzo chętnie. *W. P.*

Straża (Bukowina) 6. Czerwca.

Przeszłego tygodnia zabili huculi z Izwora dwa młode niedźwiadki, jednego w Saracie, drugiego pod Zupanią. Od Sierpnia r. z. do Czerwca 1886 zabito w tamtych stronach 2 stare i 3 młode niedźwiedzie. Toki głuszców były tego roku wcale nie świetne, znaczne zmniejszenie tej zwierzyny zauważano od niejakiego czasu, dostarczono nam w tym roku 6 głuszców i 8 cietrzewi. W r. 1881 zabito w jednym tygodniu w Saracie 18 głuszców. Ciąg słonek na podgórzu i w górach był nadzwyczaj słaby, o wiele lepszy, a nawet dobry, miał być na równinie. Do mojej korespondencyi, umieszczonej w nrze 5. „Łowca“, muszę dodać, iż daty zabitej zwierzyny polegają na urzędowych sprawozdaniach, za tę zwierzynę zapłacono strzałowe, i sprzedano ową zwierzynę, na co wszystko są dowody w rachunkach. *C. Kochanowski.*

Gal. Towarzystwo łowieckie ma jeszcze na składzie wydane nakładem swoim dzieła myśliwskie:

Starzeński L. hr. Wspomnienia z wyprawy myśliwskiej do Syryi. Lwów 1882.

Ubysz A. Chart. Lwów 1880.

Weeber L. O odtylcowych systemach ręcznej broni palnej. Lwów 1883.

Wodzicki K. hr. Ruja sarn. Lwów 1883.

— Wspomnienia z życia łowieckiego. Lwów 1881.

Również roczniki „Łowca“ kompletne, ale tylko z trzech lat ostatnich, jakoteż kalendarze swoje z lat 1884, 1885 i 1886.

Poświadczam, że pan Karol Hostoński mego 8-miesięcznego psa legawca, który przez lekarza weterynaryi na zapalenie płuc i nosaciznę z wielką starannością leczony, po trzeciej konsultacyi bardzo mało nadziei wyzdrowienia okazywał; po zadaniu czterech pigułek swoich w przeciągu tygodnia do zupełnego przyprowadził zdrowia.

X. Jan Hausmann, kanonik kapituły metrop. obrz. łac.

Spółka rybacka w Warszawie. W drugiej połowie Lutego odbyło się zebranie warszawskiej spółki rybackiej, która, powiedzmy to z pociechą, coraz pomyślniej się rozwija. Bilans roku zeszłego przedstawia się już bardzo korzystnie, a preliminarz budżetowy na rok bieżący jeszcze lepsze daje widoki. Wpływ to z jednej strony praktyczności spółki, która podejmując sprawę rybołowstwa krajowego, mogła liczyć na pewne, że rzecz ta ma przyszłość obiecującą, z drugiej strony wzorowej pracy i energii kierowników, którzy z rzadką u nas przedsiębiorczością sprawą całą się zajęli. To też interesa spółki idą dobrze, rok obecny da znaczną dywidendę akcyonaryuszom, przyszłość rybołowstwa krajowego jest zapewnioną. Takie gospodarstwo stawowe, jak w Kocku i Żyżynie, może już rywalizować z pierwszorzędnymi zakładami europejskimi, a umiejętna exploatacya rybołowstwa w dobrach p. Adama Przanowskiego jest odpowiedzią dla tych wszystkich, którzy nie widzą dróg wyjścia z obecnego przesilenia. Zebranie, o którem mówimy, roztrząsało ważną kwestyę, mianowicie zastanawiało się, w jakim kierunku rozwijać należy przedsiębiorstwo. Jak wiadomo, rybołowstwo wód słodkich rozdziela się na dwa wielkie działy: pierwszy hoduje ryby droższe, łososiowate; drugi tańsze karpiowate, jak: karp, lin, karaś, w dzikich stawach szczupaki, chodziło zatem o to, która hodowla jest u nas praktyczniejszą? Zebranie prawie jednomyślnie oświadczyło się na korzyść karpiowatych, jako zapewniających znaczniejsze i pewniejsze dochody. Pogląd ten wyrażony przez ludzi kompetentnych, nie obojętnym zapewne będzie dla zajmujących się rybołowstwem. *(Hodowca).*

Przeciw wściekliźnie. Piszą z Hrubieszowskiego, że 8 ludzi było pokąsanych przez wilka wściekłego. Leczenie ich nowowynalezionym sposobem sławnego chemika francuskiego Pasteura, z powodu formalności paszportowych nie przyszło do skutku i ci biedacy podobno poumierali. Tymczasem p. Mikołaj Godlewski, częściowy właściciel wsi Skirstymonia na Żmudzi, donosi, że już od r. 1849 leczy ludzi dotkniętych wścieklizną i od tego czasu 254 ich wyleczył. Środki przez niego używane są same zioła krajowe, a w szczególności: obojnik pospolity *(cynachum vincentoxicum)*, goryczka krzyżowa *(genciana conciata)*, groch wilczy *(astrogalus gliciphilus)*. Wszelako wiele zależy od sposobu użycia tych ziół, w tym celu należy się odnieść do p. M. G. w Skirstymoniach pod Jurburgiem. *(Tygod. roln)*

Codziennie powtarzające się uznanie mojej amunicyi i sposobu nabijania, zniewalają mnie na podstawie przeszło 40letniego doświadczenia, dla pożytku naszych myśliwych, wyrazić moje zdanie, zdążające do otrzymania gęstego i ostrego strzału. W celu osiągnienia takiego strzału jest przedewszystkiem warunkiem głównym:

I. Szczelne zamknięcie prochu. *a)* Ponieważ temperatura gazów wynosi około 2300 stopni, to należy używać do luf gładkich niezwężanych tylko twardych przybitek na proch, gdyż miękkie przybitki, jak to się mianowicie przy strzale na śniegu przekonać można, wychodzą z luf spalone, przez co daje się możność gazom przeciskania się do naboju śrótu, co jest powodem rozrzucania. Do luf zwężanych chokebore takich przybitek wcale używać nie można.

b) Takie przybitki prochowe, które między prochem a śrótem próżne miejsce tworzą (kociołkowo-wklęsłe), dają zawsze strzał najostrzej-

szy, bo gazy prochowe mogą się bardziej rozszerzyć i silniej od razu działać. Moje przybitki wklęsłe i dziurkowane podkładki prochowe dozwalają próżnię rzeczoną dowolnie powiększać lub zmniejszać.

c) Nadto silnego wtłaczania przybitek prochowych należy unikać, bo tem spalenie się opóźnia, ponieważ żarzące się gazy nie mogą z łatwością przeniknąć całego naboju prochu i wybuch się opóźnia.

II. Nabój śrótowy. *a)* Używać trzeba śrótu tylko zupełnie okrągłego, bo, jak o tem na pochylonem nieco stole przekonać się można, nieokrągłe ziarnka na boki się rozbiegają, a okrągłe w prostym kierunku się potoczą.

b) Wątpliwość, czy należy strzelać śrótem miękkim lub twardym, jest obecnie powszechną, wszelako rozstrzygniętą ona została na korzyść śrótu twardego, bo odrzucono wreszcie bajkę o psuciu się luf przez śrót twardy, a zresztą w specyficznej wadze miękkiego i twardego śrótu nie ma żadnej różnicy. Główna zaleta twardego śrótu polega (Hagen) w tem, że on z powodu swej twardości wcale nie zmienia swej normalnej kulistej postaci w przebiegu przez lufy, jak to się dzieje z miękkim śrótem, który według doświadczenia, wychodzi z lufy mniej lub więcej skantowany i spłaszczony. Śrót twardy przeto przeciska się przez powietrze z mniejszym oporem, więc dalej sięga. Następnie strzał jest spoistszy, czyli rozrzucanie śrótu jest mniejsze, większa zatem ilość ziarnek dosięga przedmiotu, z czego naturalnie wynika, że śrót twardy z większego oddalenia razi śmiertelnie, gdy przeciwnie śrót miękki tylko kaleczy.

O tych przymiotach można się najdokładniej przekonać następującą próbą. Do miękkiej tarczy papierowej, bez twardego oparcia, objętości około 6 stóp kw. strzela się z oddalenia mniejwięcej 40 kroków najodpowiedniej śrótem cienkim. Przed strzałem oblicza się dokładnie ziarnka śrótu w naboju, następnie ziarnka w tarczy, wtedy okaże się, że przy miękkim śrócie ledwie 75 ziarnek na 100 dosięga tarczy, a przeciwnie najczęściej wszystkie ziarnka śrótu twardego widoczne są w tarczy, zabraknie chyba 2 lub 3 ze 100. Prócz tego dostrzeże się wiele bezkształtnych i spłaszczonych ziarnek śrótu miękkiego, co dowodzi, że one już w lufie straciły swą pierwotną postać.

Że twardy śrót mniej lufy zaołowia, nie potrzebuje dowodzenia. W Anglii i Belgii używany bywa tylko śrót twardy.

c) Nie należy w ogólności używać grubszego śrótu twardego, jak nru 4. Że śrót tego numeru jeszcze zachowuje swą okrągłość, gdy śrót miękki nru 0 już się zupełnie spłaszczy, i że w nrze 4 podwójnie większa ilość ziarnek się znajduje, jak w nrze 0, to naturalnie osięgnie się o wiele lepszy skutek z twardego śrótu nru 4, jak z miękkiego nru 0.

d) Do najodpowiedniejszego przybicia śrótu i do zaostrzenia strzału używać trzeba prasowanych przybitek wklęsłych, które tworząc przybitkę prochu z brzegiem dla próżni, nie dozwalają absolutnie przeciskania się gazów do śrótu. Za te przybitki pozyskałem powszechne uznanie.

e) Przybitki wklęsłe zapobiegają wielkiej niedogodności, polegającej na tem, że wiele ziarnek śrótu, gdy, jak to się często zdarza, gniazdo nabojowe dłuższe jest jak ładunek, na wystającym karbie żelaznym lufy, uszkodzi się i z tego powodu od linii strzałowej zbacza.

III. Stosunek ilości śrótu i prochu. Daje się podług miary tyle prochu ile śrótu, a więc np. dla kalibru 16 około 5 gramów prochu i 26 gramów śrótu nru 4.

IV. Zamknięcie łuski nabojowej. Na śrót użyć najlepiej twardej, silnej tektury i zamknąć silnie ładunek zakrętką (sertisseur). Ponieważ w skutek większego oporu wobec pierwszych wytwarzających się gazów, proch zyskuje dosyć czasu, aby zupełnie spłonąć, to przez to osięga się najwyższą prężność gazów, a więc strał najostrzejszy.

Jeżeli powyższe twierdzenia będą uwzględnione, to jestem przekonany, że zamilkną częste skargi na źle lub miękko bijące strzelby, i że znacznie większa liczba zwierzyny na miejcu padać, czyli rulować będzie.

(Bielitz, öster. Schlesien. R. Nerlich Fabrik für Munition und Bleiwaaren).

INSERATY.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z Związkowa Drukarnia we Lwowie.